ROK IV — Nr. 14 (160)

LONDYN, 4 KWIETNIA 1943

CENA (PRICE) 1s.

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

Redakcja: 229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1 (tel.: CHAncery 6128). Administracja: 9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1 (tel.: HOLborn 0868). Prenumerata: kwartalnie w Anglji 12s., w innych krajach $3. Prosimy o przekazywanie należności za prenumeratę czekiem lub „Postal Order" na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers), LTD.

Ogłoszenia przyjmują Advertising Offices, THE CARLTON BERRY CO., 437, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2 (tel.: ABBey 5108)

JÓZEF ŁOBODOWSKI

DO RZYMSKIEGO DYKTATORA

I

Smagłe toskańskie Madonny schodzą ku sinym dolinom
i zmierzch błękitny ze smukłych dłoni trzęsą.
Jeżeli teraz w tawernie stare podadzą nam wino,
a jeszcze pieśń się odezwie, nie mniej od niego wytrawna,
jeżeli z gęstwy oliwnej ku dziewki uśpionej rzęsom
wychyli się postać fauna ;
jeśli zmęczony osiołek zabrnie w przydrożne osty,
podczas gdy stary włóczęga ręce na kiju wsparł ;
jeżeli zwykła mowa zwiąże się nagle w akrostych
i noc zapłacze gwiazdami, że rzewny chwycił żal ją,
ten wina smak, ten zmierzch, ten pieśni czar
jest właśnie kołyską snów,
jest Italją.

Kto jej marmury do takich kształtów zmuszał,
że bicie dłuta gra echem w każdych płucach ;
Buonarottich imię z nazwiskiem Medyceusza
połączył, jak się róża przez portal kamienny przerzuca ;
kto w Portinarich dziedziczce Muzy rozkochał
i nad Weroną niebo rozczulił, że dotąd szlocha ;
kto w cieniu twych słów, Cezarze, campanillami rósł,
tego nie zdradzi zbroja w hartownych łuskach,
gdy targnie się stopa Herula, albo Cheruska,
na rzymskich świątyń gruz.

Jakże się teraz moim najczulszym zamysłom
i jaką przed twoim czarem wykupić ceną ?
Nie odgrodzę się, nie oddzielę najszerzej rozlaną Wisłą
od nurtu, w którym córka Fulka zanurzała swe ręce ;
obłok, co stoi nade mną, przedtem nocował nad Sieną,
a ranek spędził w Firenze.

Gotowe muzyckie narzędzie, jeno je przytknąć do ust,
same kamienie się proszą ku chętnym dłutom.
Jeno oczyścić z pleśni bronzowy biust,
kiedy go smagły wieśniak lemieszem z roli wyorze,
i wszystkie lądy, i wszystkie słowa
już z więzów mroku rozkute
dla twoich spraw, dyktatorze !

II

Nie poszły żelazne legje ku polskim borom,
konsul z pól polskich nie zebrał krwi, ani danin,
nie byłem twoją prowincją,
lecz śmiało wchodzę na Forum
jeden jedyny Słowianin.

Bo modrzew świętokrzyski rozkwitł mi w rzymski kościół
i szumi wiatr Kampanji w sosen proporcach,
i nieraz widziałem nocą :
w renesansowym Zamościu
pod rękę z polskim kanclerzem
szedł Medyceusz i Sforza.

A teraz, jeśli w mym wierszu życie pochwalę,
i rytm skandować mi będą czarnolescy ćwierkliwi ptacy,
zda się, jakby pod białym,
w zieleń wtopionym portalem
siadł na spoczynek Horacy.

Więc czemuż, gdy żołnierz rzymski nad polską Wisłą
padł,
odsłoniwszy pierś nagą zakutym w stal Wizygotom,
przed śmiercią dobrze dojrzał,
jakoś w twarz pełną garścią mu cisnął,
i obtarł z twarzy swej błoto.

Odtąd już nigdy mi dawnym spokojem nie westchnie
słodycz italskiej mowy w dźwięcznych kantylenach —
wciąż słyszę,
jak wieńczy wawrzynem zabójcę klerków i wszechnic
stary modeński senat.

Takiego grzechu przede mną nawet nie żałuj,
wyrok wydano straszliwy, i ja go nie zmienię !
Po wieki będziecie słyszeć jęk mordowanych foljałów
w grozą pobitej Modenie.

A jeszcze, abym ci bardziej serce poraził i zląkł,
wyjdę na rynek z krwawą garibaldyjską koszulą —
patrz, ludu rzymski,
raz jeszcze, tym razem z własnych twych rąk
poległ Francesco Nullo !

III

Któryś italską togę z kwiryckiej bieli odbarwił,
zdrajco Leopardiego, morderco Tassa !
Smagłe toskańskie Madonny schodzą ku sinej Narwi,
botticellowska wiosna błądzi w sosnowych lasach,
w polskich przylaszczkach, w czerwonych makach i chabrach
rozkwita młoda pieśnią skalna Kalabrja,
grają dzwony Werony na spalonych warszawskich wieżach,
medjolańska katedra chwieje się jak czółno,
aniołowie ją opuścili, idą na północ,
i syn marmurowej Piety
ma rysy polskiego żołnierza.

I gdyby dziś ów starzec z wyżyn Gibilrossy
dojrzał czyny tej ręki, co w ojczyźnie ster ma,
odpłynąłby jak chmura znad dachów Palerma,
jak chmura, ognistemi roziskrzona włosy.

Bo piorunowe, z Etny zrodzone obłoki
widziały inne czyny pod niebem tem samem
i znają duchów niezłomny testament :
Biada ludom, co własne zdradzają proroki !

Zanim palec wyroczny na czoło twe wskazał,
już mogłeś z niespokojnych domyśleć się snów,
że żywioł ognia i żywioł żelaza
twój wieniec dyktatorski na glinę przetapia,
i musiałeś usłyszeć
zwycięski rytm polskich słów
na Via Appia !

JÓZEF ŁOBODOWSKI.

A. S. DĄBROWSKI

BŁĘDY I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

W „Time and Tide" z dn. 13 marca znajduje się recenzja z książki gen. Sikorskiego „Modern Warfare", którą rozpoczynają słowa: „At this moment when Poland's future is so critically balanced"... „W chwili, gdy przyszłość Polski jest w stanie tak krytycznego ważenia się"... Tak — w przeciwieństwie do urzędowej i niemal urzędowej prasy polskiej — ocenia sytuację naszą poważny tygodnik angielski, życzliwie dla Polski usposobiony. Pewna część Polaków jeszcze usiłuje zatajać dzisiejszą sytuację. Faktem jest, że od dn. 17 września 1939 r. sprawa Polski nie była w niebezpieczeństwie takiem, w jakiem jest obecnie. Przeżywaliśmy wiele okresów ciężkich, lecz były one związane z kolejami wojny i zagrażały całemu światu narówni z nami. Dziś niebezpieczeństwo pojawia się na tle zbliżającego się zakończenia wojny, zarysowujących się planów powojennej organizacji świata i zagraża przedewszystkiem nam samym. Zagrożone jest istnienie Polski.

W „Times"ie z dn. 10 marca w niepodpisanym artykule wstępnym*) kwestja postawiona jest jasno. „Times" jest pismem miarodajnem. Nie jest to organ rządowy. Ale pismo to jest jak zegarek wskazujący, która godzina. Jak termometr wskazujący, jaka jest temperatura. Wiele decyzyj rządowych dokonało się na tle ogłoszonych w tem piśmie rozważań, koncepcyj i planów. Dlatego do głosu tego trzeba przywiązywać wielką wagę. Autor artykułu — ma być nim podobno prof. Carr — stwierdza przedewszystkiem, że nie może być pokoju w Europie wschodniej, jeśli nie będzie on oparty na Rosji. Błędem pokoju, zawartego po poprzedniej wojnie, było że Rosję, podobnie jak Niemcy, wyłączono z konstrukcji pokoju. Błędem okazało się oparcie pokoju na pomniejszych państwach, leżących na wschód od Niemiec. „Bieg wypadków bezspornie wykazał, że bezpieczeństwo nie może być zapewnione żadnemu żyjącemu w tym pasie narodowi przez jakiekolwiek zgrupowanie mniejszych krajów, ani też przez jakiekolwiek oparcie dane temu zgrupowaniu przez mocarstwa zachodnie... Przypuszczenie, że Wielka Brytanja i Stany Zjednoczone mogłyby z pomocą niektórych pomniejszych państw europejskich zapewnić stałe bezpieczeństwo Europy, prowadząc politykę odosobnienia Rosji i odgrodzenia jej od spraw kontynentu, byłoby czystem szaleństwem". Dalej autor stwierdza, że „cztery wielkie mocarstwa, jak to powiedział p. Eden w grudniu ub. r., będą miały faktyczny monopol posiadania siły zbrojnej po skończeniu wojny... Z tych czterech mocarstw tylko dwa położone są w granicach Europy... Jeśli granice Wielkiej Brytanji są nad Renem, trzeba wyraźnie stwierdzić — jakkolwiek nie powiedziano tego dotąd równie wyraźnie — że granice Rosji są nad Odrą ... W interesie Rosji leży, by obrona zewnętrzna jej terytorjum była w pewnych rękach ; ten interes będzie najlepiej zabezpieczony, jeśli ziemie leżące między jej granicami a granicami Niemiec będą kierowane przez rządy i narody przyjacielskie wobec niej... Wszystko wskazuje na to, że Rosja będzie po wojnie w możności zawarcia układów, opartych na zasadach zgodnych z tą koncepcją jej własnego bezpieczeństwa. Ale nie jest obojętne dla przyszłej przyjaźni angielsko-rosyjskiej, czy zasady te zostały przyjęte i zaaprobowane zgóry, czy też tylko akceptowane niechętnie jako „fait accompli" po osiągnięciu zwycięstwa".

Nie trzeba być wtajemniczonym w wysokie arkana polityki, by zrozumieć te zresztą niezmiernie jasno wypowiedziane słowa. Co tkwi niedopowiedziane w ogólnikowem stwierdzeniu, że konstrukcja powojennego świata ma się oprzeć na czterech wielkich mocarstwach, to w artykule „Times"a nabiera konkretności i obrazowości. Rosja będzie wybierała, jakie rządy jakich narodów są dla niej rękojmią jej bezpieczeństwa. Mamy dużo danych, by się domyślać, jak to bezpieczeństwo swoje pojmie i jak je zorganizuje, bezpośrednio po zawarciu pokoju, czy nieco później. Trzeba coprawda przypomnieć, że dość niespodziewane są niewczesne żale autora artykułu w „Times"ie nad błędami popełnionemi przy zawieraniu pokoju po pierwszej wojnie światowej, które to błędy polegać miały na izolowaniu Rosji od spraw polityki europejskiej i światowej. Przecież to „Times" właśnie i sfera, którą to pismo reprezentuje, popierał w Rosji białe armje kontrrewolucyjne, wojnę interwencyjną, i namawiał raczej do wkroczenia wojsk sprzymierzonych do Moskwy, aniżeli do Berlina. Przecież to właśnie „Times" i sfera, którą to pismo reprezentuje, poczytywał za największą mądrość polityczną traktowanie Rosji jako państwa zapowietrzonego, niegodnego współżycia z innemi narodami. Przecież to właśnie „Times" i sfera, którą to pismo reprezentuje, popierał Trzecią Rzeszę jako pożądaną przeciwwagę dla niebezpieczeństw społecznych, idących od Rosji sowieckiej. Przecież to premjer Neville Chamberlain, bliski kuzyn „Times"a, prowadził „realistyczną" politykę „appeasement". Dotychczasowe pomysły polityczne „Times"a nie należały do najbardziej udałych — dlaczegóż tedy mamy wierzyć że dzisiejsze plany są lepsze od poprzednich? Co oznacza twierdzenie, że granice Wielkiej Brytanji są nad Renem, jest rzeczą jasną i zrozumiałą. Co oznacza analogiczne twierdzenie, że granice Rosji są nad Odrą, o tem świat dowie się — jeśli się dowie — kiedy już będzie za późno, ale o tem dziś już wiedzą dobrze Polacy. Trzeba tu zresztą dodać, że autor artykułu w „Times"ie i pod tym względem nie wymyślił nic nowego; już Katarzyna II miała podobne poglądy. W urzeczywistnieniu ich była jednak logiczniejsza, bo zawarła sojusz z Fryderykiem II, królem pruskim, i w ten sposób wskazała jedyną i konieczną drogę, jaką polityka tak pojętego bezpieczeństwa rosyjskiego pójść musi. Tak to zresztą zdaje się pojmować marszałek Stalin, gdy w rozkazie dziennym do armji sowieckiej z okazji jej 25-lecia mówi, że armja hitlerowska musi być zniszczona, ale że zniszczenie źródeł potęgi niemieckiej nie jest możliwe i że mówienie o tem jest głupstwem.

Te wszystkie rozumowania są jednak małą dla nas pociechą. Nie zmieniają faktu, że ofensywa polityczna, prowadzona dotąd przez czynniki rosyjskie przeciwko Polsce i przerzucona na łamy prasy światowej znanym artykułem Kornijczuka, została teraz przez najbardziej reprezentacyjny organ prasy brytyjskiej pokwitowana, rozszerzona i skonkretyzowana. Stanowisko autora artykułu w „Times"ie nie przesądza jeszcze oczywiście przyszłości ostatecznie. Ale pojawienie się planów tego typu na łamach „Times"a ma swoją wymowę. Oznacza przedewszystkiem, że usunięcie polskiej przeszkody na drodze do sojuszu z Rosją popierane jest nie tylko przez sfery „lewicowych" intelektualistów, którzy widzą w Rosji — część z nich nawet ze szczerego przekonania — rękojmię socjalistycznej, demokratycznej i pełnej swobód przyszłości świata. Artykuł w „Times"ie oznacza, że koncepcja całkowania środkowo-wschodniej Europy pod berłem rosyjskiem ma swoich zwolenników także w poważnych pałach z City i wśród polityków prawicowych. Ta i tamta kategorja miała i ma duży wpływ na decyzje rządowe. City liczy tym razem zapewne na możność dużych inwestycyj finansowych w Rosji. Zapewne dlatego autor wspomnianego artykułu nie tylko zachęca Rosję do tego, by stworzyła „fait accompli" na terenach na wschód od Niemiec, ale jeszcze doradziła Wielkiej Brytanji, by się zgóry na to zgodziła.

Być może ktoś się za nami ujmie. Może obrazi się — jak to już raz było — Turcja, której Odra przywiedzie na pamięć Dardanele. Wówczas ktoś coś wyjaśni, wycofa, odroczy, ktoś przeprosi Turcję — nie nas, bo się przecież nie obrazimy. Ale nikt już nie cofnie tego co jest w artykule „Times"a, a przedewszystkiem tego co jest poza nim. Nikt nie cofnie tego, że stoimy przed możliwością potwornej przegranej.

Można oczywiście stanąć na stanowisku, że nie byliśmy i że nie jesteśmy niczemu winni. Jesteśmy tylko drzazgą przy rąbaniu wielkiego pnia Europy. Nie mogliśmy i nie możemy niczemu zaradzić. Ważą się wielkie sprawy, a my jesteśmy słabi. Stanie się co się stać musi i co będzie wypadkową wielkich zmagań światowych. Takie stanowisko ma pozory realizmu. Polacy mają skłonność do megalomanji. Chętnie wspominają słowa Napoleona o polskim zworniku. Napoleon coprawda, uznawszy Polskę za zwornik Europy, nie pokwapił się ze wskrzeszeniem naszej ojczyzny i Europa się nie zapadła. Ale Polacy lubią ten zwornik wspominać i snuć z tego szerokie racje swego bytu. Każdy kto dziś przypomina skromną pozycję Polski, może uchodzić za realistę. Ale trzeba przypomnieć pewne racje nie ogólnoświatowe, lecz nasze własne. Dla Polaków sprawa istnienia Polski *jest* zwornikiem wszystkich spraw. Dla tych Polaków, którzy unieśli swoje głowy z płonącego Kraju, sprawa wywalczenia wolności i niepodległość *jest* jedyną racją ich życia i śmierci. Jeśli we Francji powstał rząd polski, dla każdego Polaka w Kraju i zagranicą fakt ten oznaczał i oznacza, że mamy coś w sprawie naszego bytu do powiedzenia i wywalczenia. Gdybyśmy mieli być tylko wypadkową, tylko „ofiarą", gdybyśmy nic nie mogli zmienić ani niczemu poradzić — pocóż było tworzyć polską armję i polski rząd? Wystarczyłby komitet opieki nad uchodźcami. W samym fakcie istnienia polskiej armji i polskiego rządu tkwi już stwierdzenie, że mamy i będziemy mieli wpływ na ukształtowanie się losów Polski. Kto staje na stanowisku biednej ofiary, ten podcina rację bytu armji i rządu.

Z tego stanowiska płynie zasadniczo optymistyczna konsekwencja : możemy się bronić. W wielkiej grze karty się rzuca, ale nie wszystkie jeszcze są rzucone. Nie wolno nam i nie mamy potrzeby popadać w bezwład pesymizmu. Są jeszcze na świecie, i tu, w Wielkiej Brytanji, siły, w których intencji i interesie leży istnienie Polski nie tylko na marginesie bezpieczeństwa rosyjskiego. Dla których karta atlantycka nie jest czczą grą słów. Które potrafią zrozumieć, że zakończenie wojny obecnej przerzuceniem połowy Europy na tory rozwojowe Rosji sowieckiej nie byłoby wygraną dla postępu ludzkości. Że historyczna nauka, płynąca z wojny poprzedniej, zawiera się nie w tem, co twierdzi autor artykułu w „Times"ie : małe państwa okazały się za słabe, by powstrzymać napór niemiecki, więc małe państwa trzeba poddać wpływom Rosji ; nauka historyczna mieści się w tem, że po wojnie poprzedniej pozostawiono umyślnie małe państwa środkowej i południowej Europy w stanie rozbicia i rozproszkowania jako teren dla ekspansji niemieckiej. Jeśli pozostawi się je po tej wojnie w stanie podobnego rozproszkowania i podda ekspansji rosyjskiej, to jak poprzednia gra ze stawką na niemieckiego partnera doprowadziła do drugiej wojny światowej, tak ta ze stawką na rosyjskiego partnera musi doprowadzić do trzeciej wojny światowej. Są jeszcze na świecie i tu, w Wielkiej Brytanji, ludzie, do których mogą przemówić argumenty rozumowe. I nie tylko rozumowe. Ale by bronić stanowiska polskiego, trzeba mieć nie tylko rozum i wiedzę. Trzeba mieć jeszcze siłę charakteru.

Jest znacznie łatwiej powiedzieć sobie, że nic nie poradzimy. Bo wtedy jesteśmy nieodpowiedzialni. Jeśli twierdzimy, że sprawa polska nie jest beznadziejna, że można ją jeszcze wygrać, tem samem stwierdzamy naszą za nią odpowiedzialność. W przeszłości i w przyszłości. Jak wygląda nasza odpowiedzialność za czas przeszły?

Nastąpiła jak gdyby cicha między nami umowa, by nie mówić już o układzie polsko-sowieckim. Jaki był, taki był, ale jest. W zasadzie stanowisko słuszne. Niewiele jest sensu w rozpatrywaniu spraw, które są, ważą i nie dadzą się zmienić. Ale dziś otwiera się nowy aspekt tej sprawy. Sytuacja jest tak ciężka, że każdy Polak ma prawo zapytać o odpowiedzialność za nią. Czy popełniono błędy? Czy można było ich nie popełnić? Jakie są dane że nie popełni się w przyszłości podobnych?

Nie chcę powtarzać argumentów pro i contra, od których rozbrzmiewała prasa polska nie tak dawno temu. Ostateczny ich rezultat da się zamknąć w kilku słowach. Nie było takiego odłamu opinji polskiej, któryby twierdził, że układ był niepotrzebny. Wszyscy stwierdzali, że musiał i że powinien był być zawarty. Krytycy układu wskazywali tylko na złe jego sformułowanie i zapowiadali że wadliwość tego sformułowania będzie punktem wyjścia dalszych złych następstw. Niestety, ta przepowiednia sprawdziła się całkowicie. Obrońcy układu odrzucali podnoszone zarzuty. Układy wogóle nie mają znaczenia — twierdzili. W takim razie poco wogóle ten układ zawarto? — pytano. Obrońcy układu wskazywali wówczas na zasadniczą zdobycz : zwolnienie z obozów i więzień rosyjskich około stu tysięcy Polaków i utworzenie armji polskiej na wschodzie. Ale zaraz po podpisaniu układu zaczęły się kroki sowieckie, zmierzające do otworzenia kwestji granic. I potem przyszła serja najfatalniejszych dla nas pociągnięć sowieckich : zamknięcie polskich ośrodków pomocy uchodźcom w Rosji, aresztowanie delegatów polskich, kierujących temi ośrodkami, wstrzymanie dalszej rekrutacji do armji polskiej na terenie Rosji, niezwalnianie aresztowanych Polaków, zakaz opuszczania granic Rosji przez Polaków, odebranie obywatelstwa polskiego wszystkim obywatelom polskim, przebywającym na terenie Rosji, uznanie ich za obywateli sowieckich i co za tem idzie, skasowanie pomocy z zewnątrz dla nich. Do tego dodać trzeba jeszcze przyznanie przez ambasadora sowieckiego w Stanach Zjednoczonych Litwinowa, że obywatele polscy Alter i Ehrlich zostali skazani na śmierć jeszcze w grudniu 1941 r., co dotąd zatajano. A także dodać trzeba brak wszelkich wyjaśnień co do losów siedmiu tysięcy oficerów polskich wywiezionych w głąb Rosji. Na tem nie koniec. Są wszelkie dane na to, że ofensywa polityczna jest dopiero w zaczątkach. Artykuł Kornijczuka otworzył na terenie międzynarodowym kampanję prasową, która ma swoje określone cele. Zmierza do tego, by położyć „socjalistyczne" podstawy pod linję graniczną Ribbentrop–Mołotow, czyli pod granicę polską na Bugu i Sanie, oraz do tego, by zakwestjonować prawo rządu polskiego w Londynie do reprezentowania woli narodu polskiego. Można się domyślać i są znaki wskazujące na to, że niedopowiedziana konsekwencja, płynąca z tego, zostanie wkrótce dopowiedziana. Artykuł w „Times"ie poczęści otwiera temu drogę stwierdzając, że „interes (Rosji) będzie najlepiej zabezpieczony, jeśli ziemie leżące między jej granicami, a granicami Niemiec będą kierowane przez rządy...przyjacielskie wobec niej". Najnowszem ale zapewne nie ostatniem ogniwem tego łańcucha jest utworzenie przez rząd sowiecki w Rosji organizacji „Patrjotów Polskich" (nazwanych przez prasę brytyjską „Free Poland"), koło której powstać mają oddziały polskie armji sowieckiej. Zapewne wkrótce także i jakiś sowiecki „rząd polski".

Można, jak to czynią obrońcy układu, odgraniczyć sprawę jego sformułowania od wszystkiego co po nim nastąpiło. Jest to właśnie owo stawianie sprawy na gruncie „nie poradzimy", albo na gruncie nieważności układów wogóle. Ale jakoś nikt nie kwapi się z odmawianiem ważności innym układom, na które skwapliwie się powołujemy, i słusznie. Bądźcobądź sprawy rozgrywają się na terenie międzynarodowym, na terenie aljanckim, na którym ani układy ani ich brzmienie nie są uznawane za nieważne. Ułatwiają albo przeszkadzają rokowaniom i targom. Są, albo nie są, podstawą stanowiska politycznego i prawnego. W tej walce dyplomatycznej każde słowo jest albo redutą, której można bronić, albo roli tej nie spełnia i zmusza do cofania się. Trzeba też odrzucić twierdzenie obrońców układu, że został on zawarty pod naciskiem brytyjskim i że musiał być zawarty we wszelkiej postaci i bez żadnej zwłoki, gdyż tylko takie zawarcie go umożliwiało Polsce pozostawanie we wspólnym froncie sprzymierzonych. Pierwszemu twierdzeniu zainteresowane sfery brytyjskie przeczą stanowczo. Sfery te zwykle mówią prawdę. A do frontu sprzymierzonych Polska chyba nie miała potrzeby się wpraszać, gdyż pierwsza się w nim znalazła, o dwa dni wcześniej od Wielkiej Brytanji i Francji. O pozostawaniu w tym froncie zadecydowała przedewszystkiem postawa Kraju. To raczej Rosji, która do dn. 22 czerwca 1941 r. była sprzymierzeńcem Niemiec, wypadało szukać dróg do frontu sprzymierzonych.

To także jest pewne, że układ nie podniósł naszego prestige'u. Nie tylko nie zaczęto nas traktować jako poważnego partnera, lecz przeciwnie, zaczęto nas bagatelizować w sposób bardzo widoczny i bardzo bolesny. Sytuacja w chwili zawierania paktu była dla nas dogodna, bo wojna rosyjsko-niemiecka dopiero się zaczynała i zgoda między sprzymierzonymi była bardzo potrzebna na światowym rynku politycznym. Wtedy mogliśmy z tej sytuacji skorzystać i coś za naszą zgodę uzyskać, gdybyśmy umieli się o to upomnieć. Co najmniej zapewnienie, czy zabezpieczenie naszych interesów ze strony innych aljantów.

Było takie zapewnienie ze strony Wielkiej Brytanji w postaci deklaracji brytyjskiej, złożonej przy podpisywaniu układu a stwierdzającej że „Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje żadnych zmian terytorjalnych, dokonanych w Polsce od sierpnia 1939". Ale skromna treść tej deklaracji ujawniła się jeszcze tego dnia w postaci oświadczenia ministra Edena, złożonego w Izbie Gmin, że deklaracja powyższa nie oznacza gwarancji granic Polski. Nie przeszkodziło to pewnym gorliwcom polskim twierdzić że jest właśnie inaczej i że gwarancja taka istnieje. Urzędowy „Dziennik Polski" oświadczenie Edena poprostu zataił. Co się tyczy Stanów Zjednoczonych, podówczas jeszcze neutralnych, zanosiło się z ich strony na oświadczenie daleko bardziej ważkie. Ale tak się śpieszono w Londynie z podpisaniem układu, że gotowość udzielenia gwarancji przez Stany Zjednoczone zlekceważono. Po podpisaniu układu rząd amerykański oświadczenie swoje uznał już za zbędne i wycofał je.

Taka taktyka nie dodaje oczywiście sił w rokowaniach. Partnerzy po drugiej stronie stołu poczytują to za grę na taniość i rozumieją że mówi się do nich: „Dopuśćcie mnie do stołu, bo nie jestem wymagający i nie będę wam przyczyniał kłopotów". Gdyby partnerami naszymi były anioły, to i tak nie oparłyby się pokusie przejechania się po naszych głowach i — granicach. Właściwie stosunek Polaków do obecnej polskiej polityki zagranicznej opiera się na pewnego rodzaju mistyfikacji. Wszystko co się dzieje wewnątrz obecnego aparatu rządzącego jest — z małemi wyjątkami — postawione na głowie, nie nogach. Wszyscy o tem wiedzą, i nawet najżarliwsi zwolennicy ludzi dziś rządzących nie starają się tego zataić, bo nie mogą. Ale równocześnie chcą wzbudzić jakąś niemal mistyczną wiarę, że na zewnątrz, w stosunkach z zagranicą robi się wszystko dobrze. Otóż niema cudów na świecie. To samo co się dzieje na wewnątrz, dzieje się na zewnątrz.

Dlatego nie dziwmy się, że tak mało mamy przyjaciół. Przyjaciółmi naszymi są Szkoci, którym składają wizyty sympatyczni Polacy. Są niektórzy Anglicy, którym wyrozumiałość, pobłażliwość i biblijna postawa wobec świata narzuca spojrzenie dobrotliwe i przyszłościowe. Zdają się mówić : „Nasi polscy przyjaciele są wprawdzie nieco foolish, ale jeszcze się okrzesają i rozwiną". W świecie politycznego businessu nie mamy przyjaciół. Nie budzimy zaufania. Bo i na czemże miałoby się to zaufanie opierać? Na naszych posunięciach, które nie zdradzają rozumu politycznego? Czy może na zapowiedziach demokracji, której niema na codzień?

Najkonsekwentniej przeprowadzaną polityką obecnego polskiego rządu jest polityka zatajania. Jej nieskuteczność polega na tem, że jest to w zasadzie polityka policyjna, robiona bez policji. Pod tym względem régime przedwojenny miał przynajmniej jakieś szanse powodzenia, choć i jemu się nie powiodło. Ale i dziś, podobnie jak przed Wrześniem, hasłem jest ukrywanie rzeczy nieprzyjemnych. Celem, dziś podobnie jak wtedy, jest utrzymanie prestige'u rządowego, niezależnie od tego co rząd robi. W imię tego celu radjo polskie śle zakłamane wieści do Kraju, głupio wygładzone, zatajające najważniejsze sprawy. Niby dlatego by oszczędzić udręczonemu Krajowi niepokojów. I oto teraz Kraj otrzymuje informacje od Niemców. Radjo niemieckie i pisma niemieckie aż przelewają się od wiadomości o sprawach polskich, upstrzonych sadystycznemi kłamstwami. W kraju słuchają nie tylko radja polskiego z Londynu. Słuchają także stacyj sojuszniczych, radjostacji Kościuszki i innych. Mają możność oddzielenia plew niemieckich od plew rosyjskich i skonfrontowania wszystkiego z tem co im mówią Polacy z Londynu.

W ciągu długich miesięcy żadna z wiadomości, które wstrząsały każdem polskiem istnieniem, nie doczekała się omówienia i prawdziwego naświetlenia na łamach urzędowego polskiego dziennika. Natomiast wzywano razporaz prasę polską, by „dla celów wyższych" nie wspominała o przykrych sprawach i nie przeszkadzała „toczącym się rokowaniom". Rokowania będą się toczyły zapewne do końca wojny. W tym czasie pisma rosyjskie nie mają nałożonego obowiązku milczenia, lecz przeciwnie. Wykonywają nakazaną im ofensywę prasową z tupetem i fanfarami. Pisma angielskie podają do wiadomości swych czytelników głosy sowieckie. Dodają swe komentarze. W tym demokratycznym kraju, w którym stan opinji publicznej jest brany pod uwagę jako dyrektywa polityczna, milczenie opinji polskiej nie może być rozumiane inaczej niż jako słabość tej opinji, brak argumentów, albo zgoda na to co się dzieje.

Rząd polski mógł wygrać atut polskiej opinji publicznej, mógł się na nią powołać i uczynić z niej granicę swej ustępliwości. W Anglji rozumieją, że rządy nie mogą iść dalej, aniżeli na to pozwala opinja narodu. Ale rząd polski nie zrozumiał tej prostej demokratycznej prawdy. I oto stała się rzecz niesłychana : w chwili gdy przyszłość Polski jest przedmiotem najgwałtowniejszych ataków, zamknięto prasie usta. Nie wolno pisać o „pewnych rzeczach". W środowisku polskiem rozeszły się pogłoski, że stało się to wskutek interwencji jakichś czynników polskich. Może to nieprawda. Wersje te zrodziły się zapewne na tej podstawie że przez cały czas wojny rząd brytyjski dotąd w żadnej sprawie podobnego zakazu nie wydał. W zasadzie zakaz ten dotyczy zarówno prasy angielskiej jak polskiej. Ale prasa angielska niebardzo umie i niebardzo chce się do takich zakazów stosować. Jeśli nawet nie wypowiada szeroko swoich własnych poglądów, zawsze może się powoływać na głosy sowieckie. A zresztą artykuł w „Times"ie dowodzi, że znajduje możność mówienia także własnym głosem. W praktyce zatem zakaz zamknął usta przedewszystkiem prasie polskiej. Większość prasy brytyjskiej nie jest wogóle poinformowana np. o losach Polaków w Rosji, nie wie jak naprawdę wyglądają tam stosunki sojusznicze i jak w tej praktyce dokonywa się stosowanie karty atlantyckiej. Nie rozumie wcale tego co się mieści pod stanowiskiem polskiem. Dlatego nawet ten odłam prasy, dla którego odsłonięcie rąbka tej tajemnicy nie byłoby bez znaczenia, mówi dziś o „imperjalizmie polskim", o polskim „romantyzmie" i charakteryzuje stanowisko polskie jako "foolish patriotism". Uświadomienie opinji brytyjskiej nie byłoby w żadnym wypadku sprawą łatwą, zbyt wielkie są na tej drodze przeszkody. Ale już najgorszą rzeczą jest przerwanie tej żmudnej i trudnej pracy zakazem.

W tem wszystkiem jest bodaj metoda. Tylko, że doprowadza ona do rezultatów niezamierzonych przez tych, co ją stosują. Zerwała się nić zaufania do rządu. Przed sumieniami Polaków staje Polska, jej byt i jej przyszłość. Jak we wrześniu 1939 r. tak i dziś wola Polaków skupia się w jednem słowie : ratować.

W podobnej sytuacji Chamberlainowi w Izbie Gmin powiedziano : „For God's sake— go !".

A. S. DĄBROWSKI.

*) por. odpowiedź Zbigniewa Grabowskiego w nr. 159 „Wiadomości Polskich".

Prosimy P.T. Czytelników „Wiadomości Polskich" o opłacenie prenumeraty za kwartał II b.r. (12s. w Anglji, $3 w innych krajach).

BIBLIOTEKA KÓRNICKA

KSAWERY PRUSZYNSKI

PAN OJCIEC I PANI MATKA[1]

Należy mieć nadzieję że fundusz wieczysty działał na tamtym świecie równie skutecznie, jak o tem zapewniali ojcowie jezuici. Jeśli tak, to niewątpliwie wszystkie moce niebieskie utrudniły Aleksandrowi Janowi przyglądanie się z zaświatów najbliższym losom Siechnowicz.

W kilkanaście lat po jego śmierci zostają one sprzedane.

Dokonał tego rodzony wnuk Aleksandra, Ludwik Tadeusz, który po krótkiem panowaniu swego ojca odziedziczył gniazdo. Dlaczego je sprzedał? Zapewne dlatego, że były długi. Spłacenie trzech braci, zgodnie z przykazaniami Aleksandra, utoczyło zbyt wiele tynfów i złotych z siechnowickiego skarbczyka. Pozatem, jak zobaczymy, Ludwik Tadeusz wolał interesy od gospodarki. Najprawdopodobniej do tych interesów potrzebował pieniędzy. Dość że sprzedał Siechnowicze w roku Pańskim 1729, coprawda rodzonemu stryjowi, owemu Faustynowi, który w kijowszczyznie nieco się opierzył. Sprzedał, jak zapisano w kontrakcie, „na wieczne czasy" : toteż nim upłynęło trzydzieści lat, już wracały do niego. W stosunkach prawnych wieczność jest najczęściej krótkoterminowem pojęciem.

Nim to jednak nastąpiło, Ludwik Tadeusz przeniósł się do Mereczowszczyzny, części wielkiego klucza kossowskiego, należącego do magnatów — Sapiehów. Piotr Sapieha, awanturniczy magnat, który w Rosji dorobił się rangi feldmarszałka i stał się szwagrem samego Piotra Wielkiego, ożeniwszy się z siostrą głośnej żołnierskiej dziwki, znanej w historji jako Katarzyna I, oddał dobra kossowskie w zastaw, z czego porobiły się podzastawy, odkupne zastawy i szereg nie mniej zawiłych kombinacyj. Czasy saskie, jakie właśnie trwały w całej pełni, były złotym wiekiem sejmików i magnatów. Wielka szlachta — Radziwiłłowie, Potoccy, Braniccy — schlebiała małej szlachcie, zagonkowym szaraczkom. Mała szlachta — te właśnie zagonkowe szaraczki — sługiwała u wielkich panów, wieszała się u ich klamek, gardłowała za nich na sejmikach, zjazdach trybunalskich, odpustach, rokach sądowych, kontraktach, no i elekcjach. Potrzebując stronników na sejmiki, magnat potrzebował pieniędzy. Przyciśnięty potrzebą, zastawiał te czy inne dobra, dając je wzamian za użyczoną sumę w używalność. Trwała ona póty, póki magnat zastawu nie zwrócił ; toteż w rezultacie czas trwania takiego zastawu wyglądał znacznie poważniej niż wszystkie terminy posługujące się wiecznością.

Taki właśnie zastaw na Mereczowszczyznie odkupił z innych rąk Ludwik Tadeusz i odtąd związał się z Sapiehami. Różne to były więzy : raz Sapieha skarżył się po sądach, że mu w chorobie podstępnie dali do podpisania niekorzystną tranzakcję, innym razem przeprasza i o miłości zapewnia, raz swych gości posyła do Mereczowszczyzny na obiad, innym razem wymienia z zastawnikiem po paru chłopów poddanych. Mimo to w ciągu lat wartość zastawu na Mereczowszczyznie rosnie. Pan Ludwik, który miał tam zrazu ledwo 30 000 złp, niebawem ma już 42 000 a skończy na 52 000. Wieszanie się u cudzej klamki jest w tych czasach znacznie bardziej dochodowem zajęciem niż gospodarzenie na swojem. Tem bardziej że interesa łączą Ludwika Tadeusza z innym magnatem, podskarbim litewskim Flemingiem, a także z krewnymi Fleminga, wzrastającą właśnie w potęgę rodziną Czartoryskich. I na godności nie wpływa to źle : pan Ludwik zostaje bowiem miecznikiem brzeskim. Był to tytuł przypominający swą zmurszałością niemal czasy Popiela, więc pan Ludwik postanowił sięgnąć do bardziej nowoczesnych tytułów wojennych : niebawem August III zrobił go pułkownikiem. Armja Wielkiego Księstwa Litewskiego, wskutek nacisku rosyjskiego i pruskiego, była już dawno ograniczona do 6000 ludzi, a podobno i tyle nawet nie liczyła. W czasie panowania Augusta III zebrała się raz jeden na rodzaj rewji. Rewja ta wypadła znakomicie pod względem kulinarnym, muzealnym i końskim. Radziwiłł rozstawił tureckie namioty spod Wiednia, zdobyte przez Sobieskiego i odkupione od jego wnuczki : w cieniu namiotów, które oglądały ostatek wojennej chwały Rzeczypospolitej, wydano wspaniałą ucztę, wygotowaną przez olbrzymi sztab kucharzy ; wina były najwidoczniej mocne, skoro hetman Radziwiłł spadł pod ich wpływem z konia i omal nie został roztratowany przez własne rycerstwo : w ten sposób po raz pierwszy od bardzo wielu lat polski hetman znalazł się w niebezpieczeństwie życia. Wreszcie, na owem istnem święcie kawalerji, konie były jak u Mohorta. Za wspaniałego rumaka zapłacił Tyszkiewicz 6000 tynfów, zaprząg i karetę. Połową tej sumy wyposażano w Siechnowiczach córki, a ćwiercią ubezpieczano cały ród na tamtym świecie.

Z wojskowych zajęć pana Ludwika, głównem, a zapewne i wyłącznem, było używanie tego tytułu przy podpisywaniu różnych tranzakcyj, umów zastawnych, dzierżawczych i dłużniczych. Jego podpis nie figuruje pod żadnym rozkazem, poza wydawanymi do rządców czy ekonomów. W tym podpisie „Siechnowicki" ginie. Ustala się sam „Kościuszko". Wiadomo, że przeprowadził przynajmniej jeden zajazd w swem szlacheckiem życiu, zajechawszy włości dzierżone przez opiekuna swej żony. W r. 1740 bowiem pan Ludwik żeni się z panną Teklą Ratomską, sierotą, której ojcowiznę trzeba właśnie dobywać zajazdami. Osiada z nią w Mereczowszczyznie i tam kolejno płodzi dziatki. Jest to małżeństwo znakomicie dobrane, aczkolwiek niekoniecznie tak, jak tego chcieliby pewni historycy polscy, malując nam rodziców przyszłego bohatera w blaskach cnót jakiejś św. Rodziny. Jeśliby nawet nie byli małżeństwem, stanowiliby doskonale zgraną spółkę handlową. Ich korespondencja obraca się wokoło sum zastawnych, pozwów i interesów ; pani Tekla ostro strofuje rządcę, Sikorskiego. Siedzi w interesach mężowskich najbardziej zawiłych naprawdę po uszy, niczem Marysieńka Sobieskiego. Musiała być jedną z takich kresowych Kurcewiczowych chodzących po gospodarstwie w butach, pań pilnujących każdego worka obroku, trzymających w ryzach podstarościego, a w postrachu czeladź. Mąż wyćwiczył ją dobrze, albowiem po jego śmierci poodbiera zastawy, polikwiduje dzierżawy, pozałatwia jak może procesy, podziały, wierzytelności, długi...

Gdyż gdzieś w r. 1758, wczesną wiosną czy jeszcze zimą, umiera dość niespodzianie pan Ludwik. Dzieje się to zapewne nie w Mereczowszczyźnie, gdzie jeszcze mieszkał, ani w Siechnowiczach, które już odkupił, ale znowu puścił w zastaw, lecz w niedalekim od Siechnowicz Zdzitowie. W sto lat niemal po jego śmierci powstała gadka że zabili go właśni chłopi, ciemiężeni przez pana. Mało to prawdopodobne, zważywszy choćby że żaden ślad nie pozostał we współczesnych aktach, a tego rodzaju zbrodnie szlachta opisywała zawsze bardzo dokładnie, uważając zabicie dziedzica przez poddanych za jedną z największych możliwych zbrodni. Archiwa, które jak zwykle nie odpowiadają nam na najważniejsze pytania, karmią nas zato dokładnemi wiadomościami z samego pogrzebu. Jak to zawsze bywało u wszystkich ludzi, co parając się ziemią byli zamożni, był on nader wystawny. Koszta wyniosły okrągłe 742 złp. Pan Ludwik, który do tytułów miecznika w Wielkiem Księstwie i pułkownika w armji dodawał jeszcze godność sodalisa marjańskiego przy kościele ojców jezuitów w Brześciu, pamiętał w testamencie o własnej duszy. Widocznie protekcji jezuitów w zaświatach ufał więcej niż innym zakonom, bo zapisał im 2500 tynfów, kiedy innym przeznaczył za ich modły jeno po tysiącu. Pani Tekla wzmocniła ten testament. Z dworu w Zdzitowie poniesiono zwłoki dziedzica siechnowickiego do siechnowickiej kaplicy w asyście sześciu karmelitów, dwudziestu paru księży. Przybył bernardyn ze Słonima i kaznodzieja z Krupczyc, szli diacy uniccy ze Zdzitowa, bractwa kościelne ze Zdzitowa i Siechnowicz. Aż po Brześć rozbrzmiewały dzwony wszystkich kościołów i cerkwi, odprawiały się msze i paliły świece. Nie było to zresztą zbyt wielkiem obciążeniem, bo przeciętnie biorąc księża wzięli po złotówce za mszę, jedynie w Brześciu cenili się więcej. Kaznodzieja z Krupczyc wziął za swe kazanie wszystkiego złp. 8, tyleż samo co kucharz za zgotowanie stypy z wielką mocą imbieru, szafranu, korzeni angielskich i pieprzu. Nawet dwa szpitale w Kobryniu dostały jałmużnę : po 2 złote i groszy 16.

Pogrzeb był niewątpliwie tą jedyną już chwilą kiedy nad ciałem różnych ziemianowych stron i czasów brzmiały raz jeden jeszcze dalekie pienia ruskie, padały słowa modlitwy diaczej i zawodziły, obok kościelnych, dzwony cerkiewne. Dawna, odrzucona wiara ojców, pokorna, nieuczona i ludowa, przypominała się w takiej tylko chwili zeszlachciałym diaczym potomkom. Nie wiemy, czy w dniu pogrzebu miecznika i pułkownika panowały jeszcze na polach białe mrozy zimy, czy też już drogi rozmakały pierwszem wiosennem błotem. Jedno możemy sobie wyobrazić ; że dźwięki dzwonów zwołały zawczasu na drogi wiodące do siechnowickiej kaplicy tłumy okolicznych włościan. Były to wymieniane w aktach Kiryły, Nestory, Prokopy, Hrycie, Hrehory, Iwany. Moda na Kostiów poczynała przemijać, jak w sandomierskiem czy krakowskiem minęła dawna moda na popularne ongi imiona polskie : Mikołaj i Florjan ; Fiodorów pozmieniano na Chwedorów. Tylko Iwanów było zawsze pełno, jak za czasów Iwana Kostiuszki. Musieli patrzeć milcząco i uważnie na pogrzeb, jak zawsze patrzą nań chłopi na wsi. Może mierzyli w ciemnej głębi łepetyn ową drogę, jaką odbył, odbiwszy się od nich daleko, ów szczep diaka Kosti, podczas gdy oni zostali przy dawnej wierze i dawnej mowie, dawnem życiu i dawnej zależności od pana, któremu podawnemu „bili czołem", tyle że nie o wioskę z ludźmi służebnymi, ale o drzewo w lesie, o chudobę czy o sianokos. A może świtało im po głowie, że przetrwają zato lepiej i silniej pozostaną w te ziemie za Brześciem wrośnięci, niż ci, co w bojary poszli?

Wiemy nader dokładnie ile wziął kaznodzieja z Krupczyc, ile wydano na imbier, a ile na obicie trumny. Nie wiemy zato tylko, kto z rodziny był na pogrzebie. Czy były obie starsze, dorosłe już, córki. A przedewszystkiem czy przyjechali ze szkoły w wołyńskim Lubieszowie obaj synowie? Nigdy dziś się nie dowiemy, z żadnych wspomnień lub aktów, czy szedł za trumną dwunastoletni chłopak, pewno w żaczym, szkolnym kontusiku, z podgoloną po sarmacku głową. Rysy twarzy musiały być wtedy jeszcze bardziej chłopięce, nieporadne i zamazane, niż te jakie pozostały do końca. Pewno miały ten powolny, zamyślony smutek, jaki zachowały na wszystkich późniejszych miedziorytach i sztychach, tak samo wystające kości policzkowe, taki sam nos mały, zadarty brzydko i śmiesznie. To pewna, że dziewczynom siechnowickim i zdzitowskim musiał się wydawać dziwnie swój i tutejszy ów panicz trojga nietutejszych imion : Andrzej Tadeusz Bonawentura [2]).

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

[1]) por. „Potomstwo diaka Kosti" w nr. 156 i „Panowie Siechnowiccy" w nr. 158 „Wiadomości Polskich".

[2]) W jednym z najbliższych numerów „Wiadomości Polskich" : „Tymoleon".

ERYK SOPOĆKO

SPOD KRZYŻA POŁUDNIA POD GWIAZDĘ PÓŁNOCNĄ

Spalone podzwrotnikowem słońcem, brunatno-żółte plamy brzegu ginęły z oczu. Wyrastające ponad to zielone kiście palm traciły zwolna swój świeży kolor i coraz bardziej zlewały się z jasnym błękitem tropikalnego nieba. Czarne punkty znaczyły jeszcze tu i owdzie samotnie krążące sępy, ale i one nikły, malejąc zwolna w miarę zamykania się idealnej kopuły, którą tworzy niebieski bezmiar ponad ogromną płaszczyzną oceanu. Widok, który towarzyszyć nam miał od tej chwili przez trzy bezmała tygodnie, zwolna się ustalał. Po prawej naszej burcie suną wyrównanemi linjami dziesiątki statków handlowych chronionego przez nas konwoju. Dymy z kominów unoszą się jak nad fabrycznem miastem, idą w górę — wiatru niema — jest spokój w naturze — spokój w naszych sercach. Błogość i rozleniwienie — pewnie gorącym spowodowane klimatem — opanowuje i zniewala ciała.

Konwój idzie powoli. Wlecze się. Nawet mewy zdają się być rozczarowane nami — one lubią ruch — krążą przez chwilę, aż wreszcie znudzone odlatują dokądś dalej, w mgłami spowitą dal oceanu.

Pierwsze dni w morzu są ciekawe. Uczymy się napamięć nazw idących z nami statków, ich przynależności państwowej, tonnażu... Zgadnąć się staramy ładunek, po zachowaniu się w czasie manewrów ocenić praktykę oficerów wachtowych, po wyglądzie zewnętrznym — energję kapitanów, a sama budowa wreszcie pomoże w określeniu wieku, może nawet i stoczni, z jakiej dany statek pochodzi. Monotonję godzin, długich godzin wacht, przerywa obserwowanie okazów fauny i flory morskiej.

Z wyjściem w morze, po kilku dniach postoju w jednym z portów zachodnio-afrykańskich, życie okrętowe zaczyna się ustalać. W messie przybywa coraz więcej listów czekających przecenzurowania — niewymowny dowód powrotnej drogi. Radjo łączy nas ze światem. Nowości nikt nie drukuje — wszyscy jednak znają je — rozmowę wciąż się prowadzi na aktualne tematy, komentarze zaś są wytworem własnym, nie zaś plonem wątpliwej jakości, suggerowanym przez te czy inne pisma.

Owoców jest wbród. Takich, które się zna, takich, o których kiedyś się czytało, i takich wreszcie, dla których nazwę, niestety, zapożyczać trzeba ze słownika sprzedających je murzynów. W tym klimacie mięsa jeść prawie niesposób — zajmują więc pierwsze miejsce na naszych stołach ku niemałej uciesze lekarza okrętowego, czującego się zapewne jak w bajkowej kopalni witamin. Kabiny i pomieszczenia, zamieszkiwane przez marynarzy, mają wygląd owocarni — tem jednak piękniejszej że ma się pełną świadomość iż jest się jej wyłącznym właścicielem.

Noce — tropikalne, czarne noce. Urok ich, niewysłowiona poezja, tajemniczość głęboka, zduszona a przez to tem silniejsza żywiołowa namiętność — to wszystko co otacza nas i spowija, spływając z prądem gorącego wiatru — którego podmuchy przychodzą od lądu — lądu dżungli dzikiej a dziecięco naiwnej w swem dostosowaniu się do praw natury. Za rufą na ciemnym granacie nieboskłonu Krzyż Południa roztacza swe ramiona. Pod nim fosforyzuje seledynowem światłem wodny ślad — znaczący za okrętem wciąż i nieprzerwanie szerokie pasmo przebytej drogi. Po obu burtach słychać sapania, czasem plusk, czasem dźwięk wprost, do złudzenia przypominający pokasływanie. Stadka niestrudzonych delfinów igrają wokół okrętu, i znów fosforyzująca toń oceanu lśni migotliwemi pasemkami, krzyżującemi się nawzajem niezliczone ilości razy w tym trzywymiarowym, błędnym labiryncie.

Na pokładzie jest prawie cicho. Porozrzucane tu i owdzie grupki wolnych od wacht starają się rozmawiać półgłosem. Nikt nie odważa się na sprofanowanie piękna i majestatu podzwrotnikowej nocy. W kabinach jest zbyt gorąco i duszno aby spać — kładę się na pokładzie nadbudówki rufowej. Jak przez sen słyszę jeszcze ryk naszej syreny, a zaraz potem w krótkich odstępach czasu różne tonacje syren statków prowadzących kolumny idącego z nami konwoju. Dziewiczość nocy należy do przeszłości. Robimy zwrot. Lekkie trącenie w ramię i głos „Pół do czwartej, panie poruczniku" — przypomniał mi że mam ranną wachtę. Wschodnia strona nieba rozjaśniała powoli swój ciemny, groźny i ponury koloryt. Gwiazdy bladły.

Ranek był dosyć zimny a co gorsza, obrzydliwie wilgotny. Wachta na pomoście oczekiwała wschodu słońca. Znów będzie gorąco i znów wzdychać będziemy do ożywczego chłodu wieczora i nocy.

Okręt, na którym jestem już trzy miesiące, jest jednym z brytyjskich konwojowców z załogą złożoną przeważnie z Anglików, prócz paru tylko Szkotów, Irlandczyków, dwóch Kanadyjczyków i mojej osoby. Byłem jedynym Polakiem, lecz w morzu wcale tego nie odczuwałem. Zżyliśmy się ze sobą, przyzwyczaili nawzajem — słowem, istniała między nami harmonja doskonała, a może nawet pewna sielanka. Stosunki oziębiały się nieco w portach. Szczególnie w egzotycznych portach Afryki. Przyjaciele moi szli zazwyczaj do klubów by tam zakończyć pracowity dzień, ja natomiast maszerowałem na długie spacery. Zwiedzałem wioski murzyńskie, podziwiałem bujną roślinność, rozkoszowałem się widokami, szczęśliwy z oderwania się bodaj na chwilę od tak męczącej cywilizacji. Na tym punkcie do porozumienia między nami nie dochodziło — każdy z nas wolał swą własną drogę, której wspólny początek i koniec znajdowaliśmy dopiero na okręcie.

Jest niedziela. Ubrania tropikalne załogi białe jak śnieg. O dziesiątej rano przegląd okrętu i tych co stanowią jego załogę, potem piękne i budujące krótkie modlitwy. Na pokładzie rufowym w czworobok ustawiona załoga, w środku dowódca. Odczyta Ewangelję a potem wspólnie śpiewać będą psalm. Psalm do pana mórz i oceanów — władcy niebieskich przestworzy. W kabinie nawigacyjnej modli się grono katolików. Niewielu ich — lecz to nie przeszkadza by podkreślali swą niezależność duchową — choć skromnie i cicho, lecz nie mniej przeto wytrwale.

Modlitwy skończone, obserwujemy wynurzające się czarne płetwy licznych rekinów. Czasem widać nawet duży cień całej sylwetki, ponuro towarzyszącej okrętom konwoju.

Mija kilka dni. Cisza i spokój należą do przeszłości. Na tafli oceanu coraz mniej wodorostów, brązowo-zielone gąbki coraz rzadziej plamią błękit oceanu. Wciąż jeszcze całemi stadami, unoszą się latające ryby, zrywając się sprzed dziobu idącego okrętu. Świeża ich łuska lśni żywem srebrem, odbijając słoneczne promienie. Wiatr, gorący, suchy wiatr, niesie ze sobą czerwono-żółte tumany pyłu z dalekiej rozpalonej Sahary. Fala rośnie. Śnieżnej białości bryzgi zalewają pokłady. Wachtowi zlizują ze spieczonych warg słony piasek zgrzytający między zębami.

Życie okrętowe przechodzi swój punkt przełomowy. Znudzenie i coś w rodzaju apatji odbija się na twarzach. Niebo zakrywają coraz gęstsze zasłony chmur. W pomieszczeniach i messach troskliwie umocowuje się wszelkie ruchome sprzęty. Pisać nie można. Trudno nawet spać. Kot okrętowy, największy przyjaciel kucharza, siedzi smętnie na środku mojej kabiny. Wyraźnie zrezygnował z drzemki. Z prawa na lewo przechyla się w ruchu wahadłowym, napróżno starając się utrzymać równowagę. Nie patrzę na niego. Zły jestem na siebie. Kosz pełen śmieci już zdążył wysypać się na podłogę. Kałamarz należy do wspomnień tem bardziej pamiętnych że cała jego zawartość rozlała się piękną, dużą plamą o denerwujących nieregularnych kształtach.

Deszcz zaczął padać — słyszę zza drzwi głosy. Na wachtę wkładam nieprzemakalny płaszcz. Fajkę zamiast papierosów wsadzam do kieszeni. „Barometr wciąż spada" — mówi zdający wachtę. „Ma prawo" — krótko odpowiadam, starając się napróżno dostrzec sylwetki statków konwoju. Ktoś liczy dni dzielące nas od portu. Została mniejwięcej połowa. Poddaję w wątpliwość nieprzemakalność mego płaszcza w miarę jak woda, ściekając po plecach, zwilża wszystkie części garderoby. Godziny się wloką. Gęsty jak błoto mrok zapada. Podaję komendę na ster. Staram się podejść bliżej konwoju.

Pogoda się ustaliła. Leje bez przerwy, jest mgła, wiatr zmienił wprawdzie kierunek, ale wzrósł na sile. Zimne podmuchy idą gdzieś z mroźnej północy prosto w dziób okrętu. Nic to że jesteśmy już na szerokości słonecznej Hiszpanji, Atlantyk ma swoje własne prawa. Swetry, pończochy wełniane i rękawiczki, znów wyciągnięte z szuflad, oglądają światło dzienne. Mokro jest wszędzie. Nawet w kabinach, bo iluminatory tu i ówdzie zaczęły przepuszczać wodę, nie mogąc oprzeć się ciągłym atakom fal z zewnątrz. W ciągu jednej nocy pokazały się na chwilę gwiazdy. Obliczona z nich pozycja astronomiczna, w zestawieniu z przybliżoną pozycją zliczoną, wykazała że jesteśmy o prawie pół dnia drogi w tyle. Gorzej być nie mogło. Ale zato — tak samo — utrzymało się jeszcze przez okres paru dni.

Aż wreszcie nastąpiła zmiana. Wiatr ucichł. Fala z dnia na dzień stawała się coraz mniejsza. Powietrze napełniły gęste tumany ciężkiej, szaro-białej mgły. Konwój został zmuszony do zmniejszenia szybkości. W czasie przeciągających się nocnych wacht nic, dosłownie i literalnie nic, nie byliśmy w stanie zobaczyć. Cztery godziny na pomoście, spędzone były pod ciągłym znakiem zapytania, gdzie jest właściwie konwój i prowadząca go reszta eskorty. Na nic nie zdało się palenie nawigacyjnych świateł. Otulające szczelnie zwały mgły były, niestety, nie do pokonania. Obsługi uzbrojenia przeciwlotniczego należały może do tych wyjątków na okręcie, dla których obecny stan rzeczy był zdecydowanie okolicznością sprzyjającą. Ataki z powietrza były wykluczone, a więc tem samem byliśmy wolni od służby wachtowej.

Oczom wierzyć nie chciałem gdy na dzień przed wejściem do portu, wyszedłszy rano na pokład, znalazłem go skąpanym w blaskach marcowego słońca. Pod jego ożywczemi promieniami wszystko zdawało się wracać do radosnego życia. Uśmiechnięte twarze, lśniące barwami tęczy krople na linach, okapach nadbudówki i relingach, wesoło doganiające konwój staki-maruderzy, stada żarłocznych, europejskich mew i w dali widoczne sino-szare szczyty skalistych brzegów Irlandji kazały i mnie rozchmurzyć ponure oblicze. Jeszcze jeden konwój przyszedł bezpiecznie do wysp brytyjskich. Dwa tygodnie walki z niestałemi humorami żywiołu zapisać można na konto tego co było i pewnie nieraz jeszcze w życiu się powtórzy.

Nazajutrz wieczorem płynęliśmy środkiem szkodzkiego „loch"u. Śnieg znaczył duże jasne plamy na masywach otaczających nas brzegów. W górze świecił bladem światłem księżyc, a po przeciwnej stronie nieba mrugała radośnie Gwiazda Polarna — odwieczna przewodniczka żeglarzy.

ERYK SOPOĆKO.

Lund Humphries Modern Language

READERS
RUSSIAN POLISH MODERN GREEK
Crown 8vo. Each Vol. about 104 pp. 6/- net, bound full cloth.

National
CHINESE READER
Language and
GUIDE TO CONVERSATION
Demy 8vo. 200 pp. 15/- net, bound full cloth.

RUSSIAN GRAMMAR and SELF-EDUCATOR
by Louis Segal, M.A.
Russian-English and English-Russian Vocabulary.
Crown 8vo. 242 pp. 7/6 net.

RUSSIAN ENGLISH DICTIONARY
New Orthography. *Edited by Louis Segal, M.A.*
Crown 4to. 978 pp., bound full cloth 42/-

Percy Lund Humphries & Co., Ltd., 12, Bedford Square, London, W.C.1

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglji aby zwracali się z zaufaniem osobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkiemi zapotrzebowaniami farmaceutycznemi lub medycznemi do składów aptecznych :

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(służba dzienna i nocna)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą
SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

Winter Garden *Drury Lane, W.C.2, HOL 8881*
JAN COBEL
BALET ANGIELSKO-POLSKI
Codziennie o godz. 6.30, popołudniówki w środy i soboty o godz. 2.30 W programie : „Wesele krakowskie", „Sen róży", „Sylfidy", „Umarł Maciek, umarł...", „Pan Twardowski", „Jezioro łabędzie" i in.

Vaněk KRAWIEC i KUŚNIERZ CZESKI
Każde futro po jego przeróbce wygląda jak nowe
Płaszcze kostjumy Pierwszorzędny krój
4, William Street, Knightsbridge, również w Bournemouth

HAMILTON HOUSE HOTEL
140, PICCADILLY, LONDON, W.1
pod polskiem kierownictwem
25 pokoi stale zarezerwowanych dla PP. Oficerów i Szeregowych W.P.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

GRUDKA ZIEMI

W kopercie dał mi ktoś grudkę ziemi z Polski, gdy jechaliśmy na pogrzeb Józefa Krzyżanowskiego do Brookwood pod Londynem. Przemawiać mając nad grobem, wzruszyłem się już niejako na zapas, w pociągu, bo też czasami jestem sentymentalny. Zdarzają mi się te napady zawsze, gdy widzę coś z Polski. A tu, w tej kopercie, ziemia, grudka, właściwie szczypta. Ale ziemia z Polski. Ziemia święta.

Cmentarz krakowski, myślę, główny, zatem rakowicki cmentarz, nie ma szczególnego uroku i nie jest bynajmniej pociągający. Płaski, monotonny, banalny. Daleko mu do lwowskich, więc do starego, stryjskiego, lub choćby do łyczakowskiego, a już w porównanie iść nie może z wileńskiemi. Tyle tylko, że drzew ma wiele, że po grobach rude wiewiórki biegają, oraz że czasem, przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, słychać tam hejnał z wieży Marjackiej.

O tym hejnale myśleli wszyscy uczestnicy pogrzebu, zwłaszcza krakowianie, których zebrała się spora garstka. Ale cmentarz w Brookwood piękny jest do tego stopnia, że budzi wręcz zazdrość. To park olbrzymi, nie cmentarz. Mnóstwo cedrów, cyprysów, lecz także i drzew liściastych, ogromnych, starych, wiele polanek zielonych i słonecznych, a grobów prawie niema. Ukryte, rozsypane dyskretnie tu i ówdzie, nie narzucają się wzrokowi. Człowiek myśli tam raczej o śnie, o długim wypoczynku, nie o śmierci. Jakże cicho, jak pięknie, jak spokojnie ! Wszystkiego trzech Polaków tam leży, a Krzyżanowski jest czwarty. Władze wojskowe zakupiły osobną kwaterę w Brookwood na własność i okazały dobry smak. Sądzę, że referował tę sprawę jakiś krakowianin, który ma poprostu we krwi talent do urządzania pogrzebów, jak ja niedawno jeszcze miałem talent do wygłaszania mów pogrzebowych. Zamawiali sobie te mowy rozmaici aktorzy,

JÓZEF KRZYŻANOWSKI

i musiałem składać przyrzeczenie solenne, że nie zawiodę.

Ale mowę nad grobem powinno się mówić, nerwy trzymając w garści, tego bowiem wymaga specjalna technika cmentarna. Jakże jednak mówić na zimno, gdy stoi się nad grobem człowieka, który umarł śmiercią najbardziej paradoksalną, śmiercią, pozbawioną wszelkiego sensu i logiki? Tu zawodzi rutyna i wieloletnie doświadczenie. Gdy inni giną w sekundzie, gdy ich zabija kula czy bomba lub torpeda, Krzyżanowski, Hiob prawdziwy, spędził cały „blitz" londyński w szpitalu, dumając pewnie o tem, co go prędzej zabije : bomba czy choroba? Zabiła choroba. Nieuleczalna, dziwna, egzotyczna choroba, na którą niema lekarstwa. Bo też mózg ludzki wysila się jedynie w kierunku, jak zabijać najskuteczniej, nie interesując się taką bagatelą jak życie.

A tego życia, życia Krzyżanowskiego, szkoda, wielka szkoda ! Trzydzieści dwa lata, z których właśnie ostatnie dwa były jakby jedną księgą Hioba. Dla czytelników „Wiadomości Polskich" nazwisko Krzyżanowskiego nie jest obce, pamiętać je muszą choćby z obszerniejszej pracy o procesie Wandy Krahelskiej-Dobrodzickiej (nr. nr. 132, 134, 136), równie jak z kilku doskonale pisanych, tryskających inteligencją i trafnością sądu recenzyj (nr. nr. 135, 139, 150). Przyrzekł nam scharakteryzować naukowo dla „Wiadomości" luki i błędy nieszczęsnego konkordatu, przyrzekł wykonać także inne prace, bo palił się do pisania, im bardziej paliła go choroba. Nie zdążył już napisać.

Był asystentem prof. Stanisława Estreichera na Uniwersytecie Jagiellońskim i szedł drogą karjery naukowej, doraźnie zarabiając na życie jako sędzia. Rzecz dziwna i zabawna, że nie tylko szanowali go, ale nawet kochali rozmaici złodzieje czy rzezimieszki, których sądził, będąc sędzią sprawiedliwym i mądrym, a człowiekiem uroku pełnym. Nieraz gdy zapędził się nocą w niebezpieczne zaułki przedmieść krakowskich, gdzie po zgaszeniu latarń łatwo można dostać nożem lub czemś podobnem — nieraz właśnie ci skazywani przez niego na karę wielokrotni recydywiści rozbrajali kamratów, mówiąc : „Dajże spokój, Antek ! Przecie to Krzyżanowski !". I Antek czy Felek chował narzędzie, poczem, speszony w najwyższym stopniu, dodawał : „Rzeczywiście ! Jak Boga kocham ! Krzyżanowski !".

Prawnik i historyk. Będąc członkiem jagiellońskiej niemal dynastji Krzyżanowskich, nie poświęcił się, jak stryj jego, Adam, ekonomji, lecz poszedł w ślady drugiego stryja, Stanisława Krzyżanowskiego, prawnika a profesora historji. Lecz przy tem wszystkiem był trochę poetą, w każdym razie romantykiem, i kochał teatr, który za studenckich lat pociągał jego wyobraźnię. Zatem i w pracach Józefa Krzyżanowskiego występuje prawnik i historyk i romantyk i zarazem jakby człowiek teatru. Wszystkie te właśnie cechy podbiły czytelników „reportażu" o zamachu Krahelskiej na Skałłona. Trzy szkice w „Wiadomościach" były jakby skróconą powieścią detektywną. Subtelny wywód prawniczy nie przeszkadzał bynajmniej spiętrzeniu efektów akcji, jak delikatne aluzje do niedawnej naszej przeszłości, czy też nawet i do teraźniejszości, nie zmniejszyły napięcia dramatycznego i nie zubożyły charakterystyki postaci głównej i tła.

Tło malował romantyk, postaciami i akcją kierował człowiek teatru, prawnik odsłaniał kulisy sądowe a nad całością czuwał historyk. Dodajmy, że Krzyżanowski pisał tę rzecz z pamięci, a raczej rekonstruował — będąc ciężko chorym — pracę, zaczętą i niemal ukończoną w Polsce, przed wojną. Z tej „próbki", jaką wydrukowały „Wiadomości", z tego skrótu stenograficznego można wnioskować, jak wyglądałaby książka ! Jak znakomicie przedstawiona „intryga", ile przedniego humoru w tych trzech odcinkach !

Otóż właśnie : humor ! Z tragicznego koturnu, jakim jest szpitalne łóżko, na wszystko, co się u nas dzieje patrzył ten Łazarz czy Hiob i uśmiechał się uśmiechem niezwykle mądrym. Snuł zadziwiająco trafne spostrzeżenia i analogje do niedawnej, przedwrześniowej przeszłości. Wiązał nici, dochodził po nich do kłębka, jak sędzia śledczy, jak historyk i jak reżyser, sam już dawno aktorem być nie mogąc. W przerwach między jednym a drugim czy dziesiątym kryzysem okrutnej choroby opracowując skrypta dla korespondencyjnych kursów prawa, równocześnie był jakby jednem uchem w Strattonie, w ministerstwie sprawiedliwości, w biurach planowania zwłaszcza administracyjnego, i nasłuchiwał pilnie a krytycznie. Był to zaś człowiek naprzekór młodemu wiekowi dojrzały w sądach i nader bystry, i wogóle był to ktoś, kto mógłby przydać się bardzo i teraz i kiedyś, gdy wrócimy.

Nie wróci już. Myśleliśmy o tem z wielkim żalem, gdy nam przyszło go poniechać na pięknym cmentarzu w Brookwood. Dlatego i w tej chwili ciężko mi położyć kropkę pod wspomnieniem pośmiertnem. A przecież na dobrą sprawę, czeka mnie sporo jeszcze takich nekrologów, niekiedy bowiem nawiedzają mnie we śnie duchy zmarłych, jakby upominając się o to, bym ich zgon zaksięgował : kapitan-lotnik Andrzej Strasburger, którego utwory drukowaliśmy w „Wiadomościach" podpisane pseudonimem „Starjan" ; dalej przyjaciel mój stary, Stefan Komornicki, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, który po męczarniach Oranienburga wrócił do Krakowa jak widmo, i zamordowany został przez jakichś „bandytów" we własnym domu ; potem Ludwik Puget, rzeźbiarz i historyk sztuki, ofiara niemieckiego obozu koncentracyjnego... I tylu, tylu innych, znanych mi osobiście lub nieznanych, których nazwiska zdobią olbrzymią listę strat, poniesionych przez naukę, kulturę, sztukę czy literaturę polską. Trzebaby przecież, bodaj zgrubsza, orjentować się w tem, cośmy jeszcze tak niedawno mieli, a czego już nie mamy. Trzebaby pomyśleć o jakiejś ogromnej księdze żałobnej. Czytalibyśmy ją od deski do...grobowej deski. W czarnem ich zwierciadle odbijałby się stan posiadania Polski przedwojennej w dziedzinie duchowej.

Wracam jeszcze do Krzyżanowskiego. Podobno prof. Estreicher starał się skierować młodego asystenta na tory bardziej ścisłe i dlatego niechętnie przyjął wiadomość, że Krzyżanowski zabrał się do pracy nad... Janosikiem. Ale Estreicher napewno z przyjemnością rzetelną czytać musiał gotową już pracę, bo też uczony ten smakował we wszystkiem, co okazywało talent, który to talent bił z rozprawy Krzyżanowskiego o Janosiku. Pisana z benektyńską cierpliwością, z wyzyskaniem wszystkich możliwych źródeł, jakie były dostępne w archiwach sądowych na Podhalu, na Śpiszu i Orawie, przecież nie odbronzowała postaci zbójnika, starając się jednak osadzić ją na właściwym gruncie prawdy historycznej. Ale ta prawda nie przeczyła w niczem legendzie, umacniała ją raczej przez dowód, że Janosik żył, że był postacią realną, nie wymyśloną przez protoplastów Sabały. I wypada jeszcze zaznaczyć pewien szczegół, dotyczący genezy tej rozprawy : myśl o niej przyszła Krzyżanowskiemu do głowy podczas jakiejś wycieczki, w Tatrach.

Przyjaciele jego i znajomi, zebrani w Brookwood, przyszli zgodnie do wniosku, że ta śmierć była ulgą i że raczej stało się lepiej tak, jak się stało, zamiast, żeby ten biedak męczył się jeszcze przez kilka miesięcy. Ale żal nam było bardzo. I żal nam jeszcze. I wzruszyliśmy się ogromnie, gdy na trumnę spadła grudka ziemi polskiej, ziemi świętej.

Mała grudka, szczypta zaledwie, a przecież bardzo, bardzo ciężka.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

SLOane 1537
JANE AND JUDY
SPECJALIZUJĄ SIĘ W PRZERÓBKACH
Przeróbka sukien, płaszczy, kostjumów, kapeluszy, bielizny.
Szyją z powierzonych im materjałów i chętnie podejmują się nawet najdrobniejszych przeróbek.
Mówi się po francusku, po niemiecku i po hiszpańsku
36, WILTON PLACE, KNIGHTSBRIDGE, LONDON, S.W.1

....A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA

STRATTON STREET PICCADILLY, W.I.
Phone: MAYFAIR 7807-9
LE COQ D'OR RESTAURANT
MAISON FRANÇAISE
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

CO ZROBIĆ Z HITLEREM *)

Wielokrotnie słyszałem ludzi, zwłaszcza kobiety, mówiące w gniewie: „Wie pan, cobym zrobiła temu staremu Hitlerowi?“. I gdy je zachęcałem, zaczynały opisywać straszne rzeczy, któreby mu zrobiły, gdyby wpadł w ich ręce. Nic podobnego nie powinno zajść. Hitler nie powinien być zabity.

Nie znaczy to bym dzisiaj, w tych krwawych czasach, oponował przeciw pewnej ilości zabójstw czy wyroków śmierci, zwłaszcza dla przykładu czy dla odstraszenia. Morderca Hess powinien był być rozstrzelany jako szpieg natychmiast po jego schwytaniu. Thomas z Guerniki powinien był być na miejscu zastrzelony; jest długa lista ludzi przy zdrowych zmysłach, oprawców, sadystów i morderców, którzy powinni być oddani pod sąd i już teraz przeznaczeni na stracenie, którym się nie powinno okazać żadnej litości, ale nie dotyczy to tego obłąkanego idjoty. Zabijając Hitlera, oddalibyśmy prawdziwą usługę złym mocom w Niemczech — dalibyśmy im narodowego męczennika, pod płaszczem jego legendy moce te mogłyby się ukryć przed gniewem ludu; w rzeczy samej te złe moce chciałyby same się pozbyć dzisiaj Hitlera. Hitler jest obecnie piorunochronem dla wszystkich winowajców w Niemczech. I nie tylko źli Niemcy będą się cieszyli, jeżeli obecny kryzys dziejów ludzkości zostanie skarykaturowany jako wojna z jedną durną i ociekającą krwią kreaturą.

*

Źle poinformowani propagandyści nazywają Hitlera Schickelgruberem. Jego właściwe nazwisko brzmi Hitler. Ojciec Hitlera, pretensjonalny mały urzędnik, urodził się jako Schickelgruber, ale legalnie zmienił nazwisko. Snoby oskarżają Adolfa, że był on malarzem pokojowym i że należał do klasy robotniczej. Gdy mu się źle powodziło, trudnił się on chwilami malowaniem pokojów, lecz w rzeczywistości był on nieudanym kandydatem do szkoły sztuk pięknych, a wszystkie jego przesądy są typowo mieszczańskie. Jest on pod względem społecznym odpowiednikiem nieznośnych pomocników fryzjerskich i chłopaków ze szkół „niedaleko Eton“u i t.d., którzy w Anglji „chcieli Mosleya“. Ponadto cierpiał on na kompleks impotencji płciowej i zazdrości rasowej, kompleksy bardzo często spotykane w południowych stanach Ameryki Północnej. W Ameryce kompleksy te prowadzą do lynchowania murzynów, w wypadku Hitlera — do lynchowania Żydów. W r. 1914 nie przyjęto go zrazu do służby wojskowej, lecz później powołano do szeregów. Był on gońcem na motocyklu i niczem się nie odznaczył. Ukradł żelazny krzyż, zapewne trupowi, i opowiada trzy czy cztery zupełnie różne kłamliwe historyjki, by wytłumaczyć jak dostał ten order. Do tej chwili jego dzieje brzmią bardzo banalnie. Podobne wypadki ciągle się zdarzają w naszych sądach policyjnych.

Lecz pod jednym względem Hitler był i jest człowiekiem wyjątkowym. Mózg jego był trawiony nieustanną gorączką, i etapami dobrze znanemi każdemu specjaliście chorób umysłowych, przeszedł on od gadatliwej próżności, przechwałek i wrzasków do całkowitego obłędu. Właśnie jego obłęd i jego obłąkana chytrość i podejrzliwość sprawiły, że ci, którzy pragnęli go wyzyskać, stali się wkońcu jego struchlałymi podwładnymi. Jego „genjusz“ wojskowy sprowadza się poprostu do zamiłowania do gwałtownego ataku; obecnie kruszy on resztki sił niemieckich, atakując cały świat nareszcie uzbrojony. Nasi prawdziwi nieprzyjaciele, ci którzy bronią starej tradycji, tak niezbicie wyłożonej w „Black Record“ Vansittarta, są zgodni z gorszemi elementami społecznemi własnych anglosaskich klas rządzących w dążeniu, by Hitler się skończył zanim wyzwoleńczy gniew i oświecenie, które następują po próbach każdej wielkiej wojny, doprowadzą do prawdziwej rewolucji światowej. Wydaje im się, że wówczas zdołają załatać znowu stary porządek świata. W rzeczy samej nikomu tak nie grozi zostanie męczennikiem przez zamordowanie, jak Hitlerowi.

*

Krążą pogłoski, że nosi on stalowe kamizelki i że podróżuje w wymyślnie strzeżonych pociągach. Powinien nosić najgrubszą zbroję na plecach, albowiem najbardziej grozi mu przypadkowa kula z tyłu. Nie popełni on nigdy samobójstwa — nie starczy mu na to męskości a my potraktujemy go właściwie (o ile złapiemy go na czas), umieszczając go na podstawie orzeczenia lekarskiego w niezbyt wygodnym przytułku dla zbrodniczych warjatów. I zapomnimy o nim.

Jeśli chodzi o jego najbliższych towarzyszy, Goebbels nie wydaje mi się szczególnie szkodliwy. Niech Bóg ma w opiece wszystkich propagandystów wszędzie, jeśli Goebbels ma być zabity. Goering należy do innego typu. Gdyby został rozstrzelany, wyszłoby to na dobre niektórym z naszych gentlemenów tu, w kraju.

Lecz prawdziwi zbrodniarze, ci co mordują i torturują na zimno, stanowią zgoła inne zagadnienie. Wina ich musi być ustalona teraz, powinni być sądzeni teraz i rozstrzeliwani, gdy tylko dostają się w nasze ręce.

Pozabijanie prawdziwych zbrodniarzy będzie aktem bez precedensu w dziejach świata. Krok ten uratuje życie tysięcy stosunkowo niewinnych zwykłych żołnierzy niemieckich, albowiem przyśpieszy on załamanie i konieczność odwrotu armji niemieckiej. Gdy prości ludzie będą wiedzieli i widzieli, że tym razem dla wielkich winowajców nie będzie żadnej Elby czy św. Heleny, mogą zaakceptować tezę, że drobna łobuzerja działała pod wpływem narkotyków i t.d. Jeśli wielcy zbrodniarze zostaną ukarani, jeśli dobra skradzione w krajach okupowanych zostaną zwrócone czy też zastąpione odpowiedniemi wartościami i skarbami, jeśli najcięższe roboty, związane z odbudową po zniszczeniach wojennych, zostaną wykonane przez Niemców, i jeśli wreszcie wychowanie Niemców będzie należycie nadzorowane i Niemców nauczy się elementarnej historji świata, podtrzymywanie starej nienawiści wobec Niemców będzie zbyteczne. Każdy naród może zostać sprowadzony na manowce, a jego umysł może zostać zatruty, i Europa środkowa nie musi wiecznie cuchnąć.

Ale przedewszystkiem musi ona być oczyszczona i zdezynfekowana w myśl założeń wyłuszczonych powyżej.

H. G. WELLS.

*) Przekład autoryzowany.

SYLWETKA CZŁOWIEKA

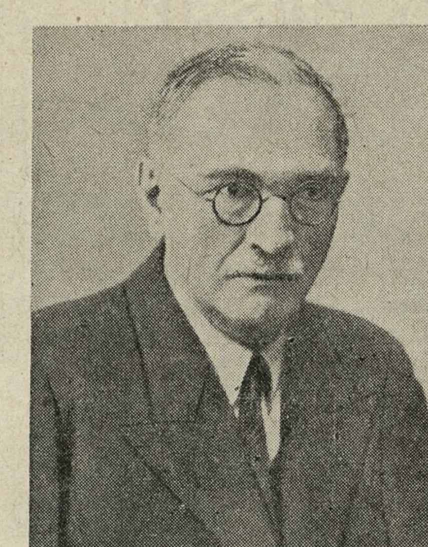

STANISŁAW THUGUTT

Przed laty dwudziestu pięciu ojcowie nasi przystępowali do odbudowy kraju, który nie znał wolności od półtora wieku. Przystępowali do tego dzieła z entuzjazmem i z wiarą, z ideałami prawdziwej demokracji w sercu — nie na papierze. Kto chce zbliska popatrzeć na sposób ich myślenia, na pobudki czynów, na konstrukcję aparatu państwowego, stworzonego przez nich wbrew fali, wbrew reakcji zalewającej polityczne życie naszego kraju, niechaj przeczyta wybór pism Stanisława Thugutta*). Z kart książki przegląda obraz pierwszych lat naszej wolności, jakże odbiegający od tego obrazu, który widzieli walczący o tę wolność uczestnicy strajków szkolnych, więźniowie Pawiaka, zesłańcy na Sybir.

Thugutt dążył, aby społeczeństwu polskiemu zaszczepić ideę poszanowania człowieka bez względu na jego narodowość, wyznanie czy pochodzenie. Robił to zarówno w okresie gdy był członkiem rządu lubelskiego, jak i potem gdy jako minister spraw wewnętrznych tępił zawzięcie wszelkie nadużywanie władzy przez podległych sobie urzędników, jako propagator idei spółdzielczej, dającej równomierne dochody, udostępniającej przywileje możnych szaremu obywatelowi. W r. 1920 klub „Wyzwolenie“, którego duszą i mózgiem był Thugutt, wydaje odezwę pod hasłem: „Wszyscy do broni!“. Autorem jej jest znowu Thugutt. Lecz skoro sam namawia, sam wzywa, przeto sumienie nakazuje mu pierwszemu zgłosić się do szeregów. Ma lat 48, pełne ręce pracy i w perspektywie wielkie cele. „Inteligenci usiłowali mnie przekonać, że i w Warszawie znajdzie się dla mnie dużo ważnej roboty, chłopi przeważnie milczeli, uważając, że powinni iść wszyscy, ale z poboru“ — pisze w swojej autobiografji. Thugutt poszedł na front. Wrócił ranny. Został kaleką na całe życie, mając sztywną prawą rękę. Spełnił i na tem, wojennem polu, obowiązek wobec ojczyzny całkowicie.

Jest świadkiem zdarzeń r. 1922. Na jego to namowy zgadza się wreszcie Narutowicz na przyjęcie wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej, do niego to mówi, już jako Prezydent, opluty i obrzucony kamieniami przez gawiedź uliczną, niemal ostatnie słowa przed śmiercią: „Niech panu Bóg przebaczy ten ciężar, jakiście na me barki włożyli“. Sam Thugutt unika podobnego losu, gdy nieznani sprawcy strzelają doń przez drzwi jego mieszkania. Intrygi prasy zmuszają go do opuszczenia klubu, który istniał dzięki jego pracy i dzięki jego nazwisku. Umie ustąpić w chwili, gdy jest u szczytu. Robi to zdecydowanie i szybko, bez myśli o kompromisie. Jest demokratą o twardej ręce, gdy widzi, że zagrożone są prawa człowieka do życia; rozumie, że tolerancja doprowadzić może niechybnie do zagrożenia praw Polski do niepodległości. Nie waha się zwrócić o pomoc wojska, gdy dowiaduje się, że w Zagłębiu robotnicy wrzucili kilku inżynierów do szybów, że sabotują nie tylko wytwórczość, ale wogóle wszelką władzę polską, niezależnie od tego skąd ona pochodzi. Naraża się przeto robotnikom, podczas gdy pracodawcy już dawno okrzyknęli go komunistą. Działa jednak w zgodzie z własnem sumieniem. Jakże wyraźnie to widać, jak wyczuć można z kart owego pamiętnika! Sylwetka człowieka rysuje się tu mocno i szlachetnie. Wbrew interesom własnym, wbrew taniej popularności, Thugutt zapisuje karty historji niepodległej Polski słowami, które przyszłym pokoleniom dźwięczeć będą napewno prawdą i uczciwością. Tak jak nam dźwięczą przy czytaniu jego wspomnień.

Thugutt był miłośnikiem natury. Polskie Tow. Krajoznawcze wiele mu zawdzięczało. Pióro jego po mistrzowsku opisywało piękno polskiego lasu, pola i łąki. Myślę, że głęboka znajomość psychiki ludzkiej, przy równoczesnem zrozumieniu przyrody, wytworzyło w nim tak wiele wyrozumiałości i mądrości życiowej, która w ciągu lat służyła innym za niedościgniony wzór. Wydaje mi się, że wzór ten jest godny naśladowania także dzisiaj. Wydaje mi się, że postać Thugutta, jego, tak bardzo ludzka, sylwetka nie powinna ujść uwadze tych, którzy myślą dzisiaj o ujęciu w ręce steru rządów w wolnej Polsce.

Poprzez poszanowanie człowieka, dochodzi się do poszanowania stworzonych przez niego organizacyj. Poprzez sprawiedliwość bezwzględną, jednakową dla wszystkich, buduje się wolne, prawdziwie wolne społeczeństwo. Poprzez nie skolei droga wiedzie do świadomej demokracji ludu, do godziwej kontroli poczynań rządu i władz. To zaś rodzi poczucie obywatelstwa u wszystkich, poczucie gospodarza we własnym domu, którego warto bronić za każdą cenę, za cenę własnego życia. Rodzi dumne uczucie obywateli brytyjskich, że oni, nikt inny, tylko oni rządzą Imperjum. Poczucie to stwarza dojrzałą społeczność.

Lecz wszystko zaczyna się od poszanowania człowieka. I wszystko na tem się kończy. Bez tego, nie miałyby znaczenia słowa Thugutta, napisane przezeń na wiele lat przed chwilą, gdy Polska znowu stała się wolna: „Wtem znagła uderzy wiatr. Zakołyszą się, zaskrzypią żałośnie sosny. Z brzegu sypie się suchy piekący piach. I jak głębokie westchnienie, ciężko przez sen oddychającej piersi nadlatuje gdzieś z głębi lasu szum drzew. Chciałoby się przypaść do ziemi i objąwszy ją mocno, po dziecinnemu rękami, wyszeptać cichemi usty: „Mojaś ty, moja, moja jest“...

ZYGMUNT NAGÓRSKI jr.

*) Wybór pism i autobiografia *Stanisława Thugutta*. Glasgow, Książnica Polska, 1943; str. 6nl. i 218.

Niemcy i Europa

„Inne Niemcy“, „das andere Deutschland“ — znamy te określenia z czasów republiki weimarskiej. Gdy stało się już widoczne, że pod osłoną urządzeń demokratycznych tej republiki odradza się potęga starych cesarskich Niemiec, oparta na wojsku, junkierstwie i ciężkim przemyśle, garść szczerych demokratów i nieprzejednanych pacyfistów poczęła tworzyć organizacje, mające skupiać wszystkie żywioły lepszych, „innych“ Niemiec. Utworzyli „Deutsche Friedensgesellschaft“, niemiecką ligę obrony praw człowieka, i wydawali pismo „Das Andere Deutschland“. Byli wśród nich ludzie szlachetni i uczciwi. Generał von Schoeneich, Helmuth von Gerlach, Karl von Ossietzky. Nie mieli nigdy żadnego wpływu na losy swojej ojczyzny, i pierwszy powiew hitleryzmu zdmuchnął ich z powierzchni. Ale samo ich istnienie sprawiło, że groźne, drapieżne Niemcy, „das erwachende Deutschland“, nie wydawały się już tak niebezpieczne. Optymiści, wymieniając te trzy i kilka jeszcze innych nazwisk, przeciwstawiali je całej rosnącej potędze hitleryzmu. A czytelnicy Biblji w świecie anglosaskim, mogli się potem powoływać na dziesięciu sprawiedliwych mieszkańców Sodomy i Gomory.

O tych „innych Niemczech“ pisze Fraenkel[1]) jako o rzeczywistości dnia dzisiejszego. Hitleryzm uważa właściwie za rodzaj potwornego nieporozumienia. Mocarstwa Zachodu nie miały zaufania do republiki niemieckiej, komuniści walczyli z socjalistami, rewolucja po r. 1918 była połowiczna: — Hitlera osadziła przy kierownicy wozu państwowego zespolona siła ciężkiego przemysłu i sztabu, niemal bez wiedzy narodu niemieckiego. Hitler był w Niemczech przed r. 1933 mało popularny. Jego „Mein Kampf“ rozszedł się tylko w 25 000 egzemplarzy. Obecnie sprzedaje się po kilka miljonów rocznie, ale napewno nikt tego nie czyta, bo książka jest nudna. Hitler także i dziś nie ma poparcia w narodzie niemieckim. Dowodzi tego fakt uwięzienia setek tysięcy Niemców, a także i to że na „froncie wewnętrznym“ musi być utrzymywana liczna armja czarnych SS. Niemcy niewiele wiedzą także o okrucieństwach w krajach okupowanych. Nie pisze się o tem a nie mogą być poinformowani z zewnątrz, gdyż nie wolno im słuchać ani zagranicznego radja, ani czytać zagranicznych gazet. Fraenkel nie twierdzi, by w Niemczech istniały organizacje rewolucyjne czy choćby opozycyjne, ale oświadcza poprostu, że naród niemiecki, jako całość, jest całkowicie obcy temu co czyni jego maszyna państwowa. Nie tylko obcy, ale nawet niechętny. A więc np. Niemcy okazują życzliwość dla jeńców. Robotnicy niemieccy są solidarni z robotnikami obcymi, przymusowo wywiezionymi do Niemiec. Biskupi i pastorowie wypowiadają idee chrześcijańskie i potępiają pogaństwo hitleryzmu. Listy żołnierzy do rodzin wskazują na ich chęć rychłego powrotu do domu. Rodziny piszą do żołnierzy o głodzie i o zniszczeniach w miastach niemieckich.

A jednak, mimo że wszystkie podane przez Fraenkla fakty są prawdziwe, obraz Niemiec jest całkowicie opaczny. Zagadnienie tkwi bowiem nie w tem czy i ilu Niemców słucha B.B.C., daje jeńcom papierosy lub chodzi na kazania kardynała Faulhabera. Jedynie istotne jest to, że w środku Europy możliwe było stworzenie tak potwornego aparatu napastniczego, jak to się stało w Niemczech. Aparat taki nie może działać, a nawet istnieć, bez pełnej solidarności wielomiljonowej masy narodu niemieckiego. To tylko jest ważne. To, że istnieją odpryski innych Niemiec, którym się to nie podoba, nie ma żadnego praktycznego znaczenia. Gdyby te inne Niemcy były dość silne, świat wyglądałby dziś inaczej.

Z tego swego iluzorycznego obrazu Niemiec wysnuwa Fraenkel daleko idące wnioski praktyczne. Powiada, że skoro naród niemiecki nie prowadzi wojny i jest w istocie niejako neutralny (Niemcy apatycznie przyjmują wszystkie zwycięstwa, chcą tylko pokoju), natenczas pokój powinien być klęską hitlerowców, lecz nie Niemiec. Trzeba rozróżniać hitlerowców od Niemców, tak jak to czyni Stalin. Po klęsce hitlerowców trzeba ukarać przestępców wojennych, i to zadanie ukarania trzeba powierzyć sądom niemieckim. One najlepiej rozprawią się z ciemiężycielami narodu niemieckiego. A narodowi niemieckiemu zwycięzcy powinni posłać żywność i dopomóc mu do rewolucji społecznej. Fraenkel żali się, że nie utworzono dotąd przy armji brytyjskiej brygady wolnych Niemców.

Książka niewątpliwie pisana jest z dobrą wiarą i bez arogancji, częstej u emigrantów niemieckich. Jest typową książką przedwojennego dobrego Niemca, który nie umie widzieć otaczającej go rzeczywistości. Ale pisana jest dla Anglików, którzy o Niemczech wiedzą niewiele i mają wewnętrzne pragnienie ocalenia Sodomy, z racji istnienia dziesięciu sprawiedliwych sodomitów. Przeto książka ta spełnia mimowolnie funkcje dywersyjne i jest szkodliwa.

*

Autor tej książki[2]) napisał już kilka prac politycznych, rozpatrujących zagadnienia Europy środkowej i południowo-wschodniej. Nie jest on, jak wielu innych angielskich pisarzy politycznych, rzecznikiem jakiejś jedynej zbawczej formuły, która ma za jednym zamachem wyzwolić świat ze wszystkich kłopotów. Nie przywiązuje też wagi ani do „federacji światowej“, ani do zasady „leadership“ wielkich państw, lecz pragnie oprzeć odbudowę polityczną i gospodarczą Europy na podstawach konkretnych. Stąd przywiązuje też znaczną wagę do należytego ukształtowania granic politycznych. Wbrew panującej modzie potępiania wszystkiego co wiąże się z traktatem wersalskim, Newman sądzi, że postanowienia terytorjalne tego traktatu stanowiły znaczną poprawę w porównaniu ze stosunkami poprzedniemi. Dlatego też jego własne propozycje zmian terytorjalnych pomyślane są raczej jako poprawki traktatu wersalskiego, niż jako nowa komasacja Europy. Największe stosunkowo zmiany przewiduje na Bałkanach, licząc się jednak z utworzeniem federacji regjonalnej w tym obszarze. Chciałby, by Włochy odstąpiły Jugosławji kawałek Istrji i port Riekę (Fiume). Co się tyczy Niemiec, uważa za słuszne pozostawienie w ich obrębie Austrji i przyznanie im części okręgu Sudetów. Polsce przyznaje Prusy Wschodnie i Gdańsk. Chciałby jednak, by Polska odstąpiła Niemcom, wzamian za to, skrawek zachodni Wielkopolski. Spodziewa się, że państwa bałtyckie odzyskają niepodległość, lecz tak dalece się do siebie zbliżą, że utworzą niemal jedno państwo. Przywiązuje w przyszłej Europie duże znaczenie do federacyj regjonalnych. W strefie środkowoeuropejskiej liczy się z powstaniem dwóch takich federacyj. Na północy — Polska, Czechosłowacja, Węgry, a być może także i państwa bałtyckie, lub sama tylko Litwa. Na południu — Grecja, Albanja, Bułgarja, Jugosławja, Rumunja. Obie te federacje mogłyby utworzyć wspólną organizację wyższego rzędu.

Newman zajmuje wobec spraw polskich stanowisko przychylne i objektywne. Przychodzi mu to z tem większą łatwością, że wie o Polsce o wiele więcej, niż inni autorzy, którzy o Polsce piszą. Zdaje sobie także dobrze sprawę z wagi położenia geograficznego Polski, między Niemcami a Rosją. I dlatego właśnie rozumie, jak niebezpieczne są nie tylko dla Polski, lecz i dla całej Europy, Prusy Wschodnie w ręku niemieckim. Co się tyczy granicy polsko-rosyjskiej, Newman wypowiada się za pozostawieniem jej bez zmiany, według stanu, ustalonego przez traktat ryski. Podnosi przytem, że Rosji przyrost niewielkiego obszaru na zachodzie nie jest potrzebny.

Pomijając niefortunny zwrot o rekompensacie dla Niemiec przez skrawek Wielkopolski, wzamian za przewidywane zmiany granicy polsko-niemieckiej, projekty Newmana przemyślane są rozsądnie i realnie. Powołuje się on zresztą, dla ich podtrzymania, na zasady karty atlantyckiej, w której chciałby znaleźć punkt wyjścia dla dopełnienia i udoskonalenia traktatu wersalskiego.

ap.

[1]) Europe under the Nazis. The other Germany, by *Heinrich Fraenkel*. Londyn, Lindsay Drummond, (1943), str. 144.

[2]) The New Europe. By *Bernard Newman*. With Maps. Londyn, Robert Hale, 1942; str. 175 i 1nl. i tabl. 4,

KU REFORMIE SZKOLNICTWA TECHNICZNEGO

Wydaje się, że pisarski dorobek obecnej polskiej emigracji na terenie Wielkiej Brytanji mierzony będzie w zakresie dzieł, nie wchodzących do literatury pięknej, wartościami dorobku naukowego albo rzetelnej informacji o Polsce dla Anglików, o Anglji — dla Polaków. Do tej kategorji książek należy praca prof. Stanisława Płużańskiego*).

Prof. Płużański, wieloletni profesor obróbki metali na politechnice warszawskiej, dziekan wydziału mechanicznego, jest szczególnie kompetentny w tym zakresie. Praca jego ma na celu: z jednej strony poinformowanie o bardzo skomplikowanym w tym kraju schemacie szkół, dających wykształcenie techniczne na wszystkich poziomach; z drugiej — zgromadzenie materjałów do powojennej reformy szkolnictwa technicznego w Polsce, w oparciu na doświadczeniach brytyjskich.

Książka nie ogranicza się do zagadnień kształcenia technicznego, ale opisuje również szkoły przygotowujące do takiego studjum. Stąd pierwsze rozdziały poświęcone są szkołom ogólnokształcącym na poziomie elementarnym i średnim, z uwzględnieniem t.zw. „szkół publicznych“. Uniwersytety w Oxford i Cambridge trafnie wydzielono w odrębny rozdział. Dalej autor opisuje szczegółowo studja technicze w innych uczelniach na poziomie akademickim oraz średnie szkoły techniczne, szkoły zawodowe, dokształcające i fabryczne.

Na uwagę zasługuje wszechstronność opracowania, które obok charakterystyki programu i metod nauczania, daje również cenne wskazówki co do czasu studjów, tytułów, opłat, kosztów utrzymania, stypendjów i t.d.

Interesująco wypadło porównanie systemów nauczania technicznego w Wielkiej Brytanji i w Polsce. Brytyjski sposób kształcenia inżynierów jest zupełnie odmienny od stosowanego u nas lub w innych krajach kontynentu europejskiego. Punkt ciężkości położono w Anglji na podstawy i zasady naukowe, co w rezultacie prowadzi do syntezy, przy zupełnym niemal braku specjalizacji, gdy w systemie kontynentalnym przeważa analiza i specjalizacja już w trzecim lub czwartym roku studjów. Stąd też w polskich akademickich szkołach technicznych obserwowało się wyraźne przeciążenie nauką, co zwłaszcza przy powszechnej niemal konieczności zajmowania się w Polsce pracą zarobkową podczas studjów, prowadziło do tego że młody inżynier pracę w swym zawodzie rzadko rozpoczynał przed 28-ym rokiem życia. W Anglji zakończenie studjów uniwersyteckich odbywa się w wieku lat 20–21, poczem następują dwa lata praktyki i rok prac specjalnych, co pozwala młodemu człowiekowi na rozpoczęcie działalności w przemyśle w najlepszej do tego formie, t.j. w wieku lat 23–24.

Przejrzysty wykres ułatwia porównanie szkolnictwa brytyjskiego i polskiego na wszelkich poziomach. Wykres ten podaje teoretyczny czas studjów, oznaczony np. dla politechniki w Polsce na cztery i pół lat; jak wiadomo i jak to zresztą sam autor dobitnie pokreśla w książce, studja politechniczne w naszym kraju trwały znacznie dłużej, a np. w Warszawie ilość studentów kończących wydział budowy maszyn w ciągu przepisanego czasu nie dochodziła do 0,5%. Trafnie też autor nie ograniczył się do ustalenia tego niepożądanego stanu faktycznego, ale wyciągnął praktyczne wnioski z porównania obydwu systemów szkolnictwa.

W ostatnim rozdziale książki, prof. Płużański formułuje propozycje, dotyczące usprawnienia nauczania technicznego. Obejmują one trzy grupy tematów:

zmiany na czas obecny, dążące do umożliwienia największej ilości przebywającej obecnie na emigracji młodzieży polskiej dokończenia lub rozpoczęcia studjów technicznych;

zmiany na najbliższą chwilę po wojnie, celem szybkiego dostarczenia polskiej gospodarce narodowej młodych techników z ukończonemi studjami;

zmiany na czas po wznowieniu i ustaleniu prac uczelni po wojnie, w kierunku skrócenia czasu studjów i nadawania tytułu inżynierskiego jako niższego stopnia naukowego, poczem dopiero nastąpiłoby ewentualne wykonanie pracy dyplomowej i uzyskanie następnego stopnia akademickiego.

Reforma taka będzie niezbędna po oswobodzeniu Kraju.

Jest wielką zasługą autora że nie tylko umożliwił Polakom bliskie zapoznanie się z brytyjskim szkolnictwem technicznem, ale również zaprojektował reformę polskiego szkolnictwa technicznego.

tz.

*) Inż. *Stanisław Płużański*, profesor zwyczajny Politechniki Warszawskiej. Szkolnictwo techniczne Wielkiej Brytanji. Londyn, M. I. Kolin, (1943); str. 168 i tabl. 4.

Ukazał się:
EKONOMISTA POLSKI
nr. 4
cena 3/6
do nabycia wszędzie

PRASA ANGIELSKA O „POLISH PAINTING“

Książkę Henryka Gotliba „Polish Painting“ (por. recenzję Stefanji Zahorskiej w nr. 100 „Wiadomości Polskich“) omawia prasa brytyjska w szeregu artykułów i notatek.

Znany krytyk Herbert Read („Listener“ z dn. 19 listopada ub.r.) zastanawia się, czy wogóle można mówić o malarstwie „narodowem“, a zwłaszcza czy istnieć ono będzie w przyszłości, w epoce pełnego uprzemysłowienia narodów i komunikacji powietrznej. Może tylko w krajach, „gdzie jeszcze rośnie trawa, — pisze p. Read — możliwa będzie kultura. Polska jest krajem, gdzie jeszcze rośnie trawa. Polska ma jeszcze włościaństwo... które kocha ziemię... Pan Gotlib zapewnia nas... że w malarstwie polskiem odzywają się, już nawet teraz, tony epok dalekich i zapomnianych na zindustrjalizowanym Zachodzie, tony bizantyjskiego i gotyckiego średniowiecza z ich nieokiełznanym i niezdyscyplinowanym wigorem koloru i formy. Naród, który, jak Polska, tony te umie przechować, — kończy p. Read, — będzie narodem idącym naczele w tworzeniu nowej kultury w nowej epoce“.

„Burlington Magazine“ (z lutego b.r.), redagowany przez prof. Tancreda Boreniusa, kończy całostronicowy artykuł wstępny następującemi uwagami: „Tutaj rzeczywiście mamy świadectwo z pierwszej ręki, świadectwo o niewątpliwej, trwałej wartości dla badaczy (polskiego malarstwa), tego niezwykle interesującego rozdziału europejskiej sztuki współczesnej, i wyrazić możemy naszą prawdziwą radość na myśl, że czytelnicy angielscy korzystać będą ze świadectwa zrealizowanego w formie tak poważnej i troskliwie przemyślanej“.

Maurice Collis (w „Time and Tide“ z dn. 28 listopada ub.r.) zajmuje wobec malarstwa naszego stosunek bardziej krytyczny. „Polacy nie mieli nigdy narodowej szkoły malarstwa... Poza tematem mało jest (w malarstwie polskiem) zdecydowanie polskiego... Pan Gotlib twierdzi z naciskiem, że istnieje co najmniej oryginalna polska wrażliwość (feeling). Reprodukcje nie podtrzymują tego twierdzenia, ale nie mamy tu wszak reprodukcyj kolorowych“...

W „Times Educational Supplement“ (z dn. 21 listopada ub.r.) czytamy m.in.: „Malarze polscy odznaczali się smakiem na tyle odrębnym i osobistym, że dzieła ich stanowią interesujące odgałęzienie głównych europejskich tradycyj, odgałęzienie dla nas, Brytyjczyków, nowe“.

„Times Literary Supplement“ z dn. 23 stycznia b.r. pisze: „Książka ta...powinna być pomocna w przełamaniu powszechnej w tym kraju ignorancji (na temat polskiego malarstwa)... Ilustracje wykazują, że polski genjusz artystyczny jest raczej romantyczny niż klasyczny, raczej muzyczny niż architektoniczny...wyraża się raczej w ekspresji niż w konstrukcji... Tendencje muzyczne w malarstwie polskiem zdają się iść raczej po linji Chopina aniżeli Bacha... To właśnie w naszem przekonaniu stanowi walor zasadniczy, który wnieśli polscy malarze, jako swój osobisty i narodowy wkład, do głównych stylów międzynarodowych“.

„Manchester Guardian“ z dn. 18 listopada ub.r. wita książkę jako „użyteczny przewodnik“. „Przegląd historyczny... napisany jest jasno, pełen faktów, i z pominięciem nieistotnych szczegółów, a liczne reprodukcje ... są dobrze wybrane i odbite“.

„Illustrated London News“ z dn. 12 grudnia ub.r. stwierdza, że „obrazy reprodukowane w tej książce... ujawniają siłę i świeżość“.

„Scotsman“ z dn. 26 listopada ub.r. podkreśla, że autor „potraktował temat szeroko, przystępnie i rzeczowo“.

„Birmingham Post“ z dn. 3 listopada ub.r. żali się na brak indeksu, szczegółowych dat i ...cenę wydawnictwa, przyznaje jednak, że „niektóre z reprodukcyj, szczególnie dwóch obrazów Wacława Zawadowskiego, suggerują istnienie własnej szkoły sztuki polskiej, wyraźnie odrębnej i godnej dużego uznania“..

„Liverpool Daily Post“ z dn. 18 listopada ub.r. podnosi, że reprodukcje „dowodzą, iż Polska przez cały czas swego istnienia była ośrodkiem żywej sztuki. Za mało wiemy o tej sztuce — kończy sprawozdawca dziennika — i witamy tę okazję dowiedzenia się teraz czegoś o jej poziomie i wartości“.

Bernard Causton, zastępca redaktora „Daily Telegraph“u, w recenzji swej we „Free Europe“ z dn. 18 grudnia ub.r. podnosi, że „książka Gotliba dostarcza angielskim miłośnikom sztuki wspaniałej okazji zapoznania się z dziełami polskich malarzy. Okazji wspaniałej może głównie dlatego, że autor zajmuje w stosunku do swego przedmiotu stanowisko artysty a nie propagandzisty. Najważniejsza dla niego jest wartość dzieła... Polityka i strategja zdają się zaciemniać w czasie wojny wszystko inne. Dlatego doznaje się niezwykłej ulgi, odnajdując w tej publikacji obraz polskiego malarstwa objektywny i prawdziwie podniecający, nie poddany celom propagandy“...

W podobnych duchu wypowiada się Jìri Mucha w „Čechoslavak“u z dn. 18 listopada, pisząc m.in.: „Henryk Gotlib... osiągnął sukces w tem co się nazywa dobrą propagandą“.

Herbert Furst poświęca w „Apollo“ z listopada ub.r. dwie i pół strony tematowi „Polska sztuka i kosmopolityzm“. Po obszernych uwagach, któremi zajęła się już p. Zahorska w nr. 156 „Wiadomości“, p. Furst zaznacza wkońcu: „Polish Painting“ dowodzi, że jest pomiędzy polskimi malarzami spora liczba artystów, którzy przynoszą chlubę swemu krajowi nawet przy stosowaniu standardu międzynarodowego. O tyle o ile sądzić można z reprodukcyj, „Studjum krowy“ Orłowskiego uznać należy za dzieło wspaniałe... portret słynnego generała Dembińskiego, pędzla Rodakowskiego, jest arcydziełem; Grottger ma więcej wrażliwości na „matière“ malarską, niż miał nasz Millais w w tym samym czasie, i więcej wdzięku, Chełmoński przedstawia tematy polskie z werwą i humorem; Kotsis posiada oryginalność, wrażliwość i szerokość; Boznańska zasługuje w pełni na uznanie, jakiem cieszyła się na kontynencie“...

W oczach jednego tylko krytyka malarstwo polskie nie zasługuje by o niem mówić lub pisać poważnie. Znany krytyk Clive Bell rozpoczyna swą recenzję w „New Statesman and Nation“ z dn. 16 stycznia b.r. od tego że „malarstwo polskie widocznie nigdy nie istniało“. Pan Bell nie doszedł jednak do tego wniosku dopiero teraz po ukazaniu się „Polish Painting“, lecz opinję o polskiem malarstwie wyrobił sobie już dawno. Czytamy więc: „Obrazy polskich artystów w Paryżu (należących do t.zw. Ecole de Paris) odróżniały zawsze szczególnie jaskrawe i brutalne dysonanse albo zestawienia banalne“... Pan Bell wyraża dalej zdumienie, że nie znalazło się w książce miejsce dla Kislinga i Marcoussisa, „artystów może przeciętnych, ale najlepszych z całej paczki“. Do najgorszych polskich malarzy zalicza słynny krytyk Rodakowskiego, nazywając jego portret generała Dembińskiego „poprostu śmiesznym (ludicrous)“.

8 GRUCZOŁÓW
decyduje o twoim losie
obecnie zaś możesz regenerować gruczoły

NAUKA WSPÓŁCZESNA dotarła do źródła życia ludzkiego — do gruczołów. Poprzez odradzanie gruczołów otwierają się nowe horyzonty we wszystkich kierunkach twórczości ludzkiej. Oto proste fakty. Wszystkie twoje działania oraz właściwości fizyczne i umysłowe, twój wzrost, waga i temperament, zależne są od twych t.zw. ENDOKRYNALNYCH gruczołów, czyli gruczołów WEWNĘTRZNEGO WYDZIELANIA. Gruczoły te mają nie tylko swe funkcje niezależne, ale działają ponadto jako cały układ. Wydzieliny ich, krążąc razem z obiegiem krwi, rządzą wszystkiemi objawami twej energji — umysłowej, fizycznej, nerwowej i płciowej.

Człowiek ma tyle lat ile jego gruczoły . . . Od mocy i równowagi tego wydzielania zależy twoja siła. Sprawność twoja osiąga najwyższy poziom tylko wtedy, gdy gruczoły twe funkcjonują właściwie. Słabość jest w tym samym stopniu wynikiem braku równowagi jak niedostatecznego wydzielania. Lecz i to tamto może być uleczone zapomocą hormonoterapji.

Cierpisz na przedwczesne starzenie się? Na utratę energji i żywotności, słabość, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle ogólne? Wzrok twój się psuje, łysiejesz? Stwierdzasz u siebie neurastenję, wyczerpanie umysłowe, nerwowe zaburzenia trawienia, częściowy lub całkowity zanik sił męskich? Wszystkie te stany są objawami niedostatku lub braku równowagi, które mogą być leczone tylko przez twoje gruczoły.

HORMONOTERAPJA jest nauką o odmładzaniu przez odradzanie gruczołów. Działa w sposób odwrotny niż lekarstwa — odbudowuje nanowo, zamiast tylko podniecać energję życiową. Dociera do samego sedna niedomagań umysłowych, nerwowych i płciowych. Dowiedziono jest, że przywraca pełnię energji, utraconą skutkiem choroby, wieku, a nawet chronicznego osłabienia.

Brytyjskie Wytwory Gruczołowe
Do „British Glandular Products Limited“, (P.W.N.), 865 35, Albermarle Street, London, W.1.
Proszę nadesłać mi broszurę Panów „Istota życia“ (załączam znaczki pocztowe na 3d.) lub też proszę nadesłać mi 100 tabletek marki „TESTRONES“ (męskie), albo 100 tabletek marki „OVERONES“ (żeńskie), na co załączam 10s. Prosimy o wykreślenie słów niepotrzebnych.
NAZWISKO ....
ADRES ....

W poprzednim 6-stronicowym numerze (159) „Wiadomości Polskich“ (10 ilustracyj): *Zbigniew Grabowski*: „The Times“ versus Henry Wallace. — *Zygmunt Nowakowski*: Strajk okupacyjny. — *Marjan Hemar*: Na 19 marca. ***. — *Aleksander Piskor*: Dziedzictwo cesarza Hirohito. — *Ignacy Baliński*: Ze wspomnień o dawnej Warszawie. Lata szkolne. — *Krystyn Ostrowski*: „Social Security“. — Z pracowni Topolskiego. — *Karol Zbyszewski*: Polacy i Anglicy wobec władzy. — *Kazimierz Sosnkowski*: W odpowiedzi na „List otwarty“ Prezesa Rady Narodowej, profesora Stanisława Grabskiego. — Odejście generała Boruty-Spiechowicza. — Miscellanea. — 600-a rocznica powrotu Ziemi Czerwieńskiej. — Korespondencja. — Kącik językowy. — Skarbnica Polska. *A. E. Koźmian*: Londyn w roku 1830. *Antoni Czaykowski*: Na dzień urodzin następcy tronu Połączonych Królestw Wielkiej Brytanji.

NEVERILL OLD SALTS
ZAŻYJ ŁYŻECZKĘ CODZIENNIE
Znakomita sól alkaliczna, którą najlepiej stosować rano przy niedomaganiach żółciowych, zatwardzeniu, zaburzeniach żołądkowych, w celu pobudzenia działalności wątroby, przeciwko cierpieniom pęcherza i nerek, przy podagrze, reumatyzmie, stanach podgorączkowych, otyłości i t.d. Zażywać codziennie rano. Nie psuje smaku herbaty. Przywraca blask oczom, oczyszcza cerę, daje świetne samopoczucie i radość życia. Szczelne puszki w cenie 4½d., 8½d. oraz 1/4 do nabycia w najbliższej aptece albo pocztą bez doliczenia kosztów przesyłki po tych samych cenach od
SHADFORTH PRESCRIPTION SERVICE LTD. (Dept. V.P. 626), 63, Grove Road, Bow, London, E.3

POD NOWYM ZARZĄDEM
RESTAURACJA FRANCUSKA
LACOQUILLE
79, ST. MARTIN'S LANE, LONDON, W.C.2
Tel.: TEMple Bar 8768
W niedziele zamknięta

POLSKI KUŚNIERZ
dawniej w Katowicach
LANGER & COMPANY (Furriers) LTD.
Wykonywa futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Futra na składzie. Specjalne udogodnienia dla prowincji.
59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1. telefon SLO 3626

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 100%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCJĘ)
Biżuterje, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platery, antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast. Prosimy o odwiedzenie nas; zgłoszenia przesyłką poleconą albo telefoniczne: MAYfair 5825
LINDEN & CO. 85, New Bond Street, London W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

KAŻDY POLAK
który pragnąłby otrzymać NOWY TESTAMENT lub EWANGELJĘ św. JANA w języku polskim, zechce łaskawie zwrócić się do
p. S. K. HINE
110, Christchurch Road, London, S.W.2

KINGSWAY TRUNK STORES
3, Sicilian Avenue, Southampton Row, London, W.C.1 tel. HOLborn 7500
Kupuję, sprzedaję i wymieniam artykuły podróżne, walizki i torby

GOSPODA POLSKA
właściciel St. Jóźwiak
449, Oxford Street, W.1
(naprzeciw Selfridge'a)
WYBORNA POLSKA KUCHNIA

BOLSOM'S KUPUJE I SPRZEDAJE
używane meble nowoczesne i stare, dywany, fortepiany, kasy
Ceny najwyższe
5–11, WESTBOURNE GROVE, W.2
tel.: BAYswater 2365

SAN REMO LTD.
Coiffures des Dames
18, ALBEMARLE STREET, LONDON, W.1
near Piccadilly
tel. REGent 6572/3
Permanent Waving and Tinting a Speciality

B. BOSHER & SONS
464, Edgware Road, London, W.2
Tel.: PADdington 1482
Secondhand Furs for Sale
Loans on Furs and Jewellery
Special Fur Storage

FRASZKI I BAJKI

PERSONALIA

Dla innych pobłażliwy a dla siebie twardy,
Abnegat w służbie ludu, nie czuł nic, prócz wzgardy,
Gdy go krzywdy czy łaski potrącał rykoszet —
Szedł dalej. Wiedział dokąd. Szedł naprzód. Aż doszedł.

Już z romantyka prezes. Z bojowca dygnitarz.
Już nie pytaj o przeszłość — już się nie dopytasz.
Już musi się o d e g r a ć za stracone lata.
Już sprężyną wszystkiego : odwet abnegata.

Jak sztywny półkoszulek nakrochmalił minę.
Jeszcze biurka nie dostał, już ma limuzynę,
Jeszcze sekretów nie zna, już ma sekretarza.
Mówisz — mruga. Nie słucha. Słyszy. Nie uważa.
Zmęczony.
Telefony. Konferencje. Mowy.
Audjencje. Fundusz. Akta. Podpisy.
Nerwowy.
Już w poczuciu potęgi złośliwem i mściwem
Dla innych nieugięty, dla siebie — z podziwem.
Już narzuca, w y m a g a, ustanawia normy.
Już ambicją wszystkiego — reformy ! Reformy !
Już w kręgu przytakiwań, pochlebstw i synekur
Wszystko co było — skreślić ! Na złość i naprzekór !
Już totalny, globalny, dręczy grafomanją,
Męczy mową, chaosem, pretensją, tyranją —

— Dość tego ! Skonfiskować wszystko od początku ! !
— Ja o Jędrzejewiczu...
— Aha. To w porządku.

Dziennikarz z opozycji. Machiavel cytaty,
Z pamięcią leksykonu, z głową dyplomaty —
Podrywał. Podkopywał. Warcholów rozgrzeszał.
Pomniejszał autorytet. Psy wieszał. Ośmieszał.
Przemykał się przez oka konfiskat i cenzur,
Dufny w pióro Mefista, w Metternicha jęzor
I w ową konstytucję, która w owym czasie
Warowała ustawą wolność względną prasie.

Ale został ministrem — odmienił naturę.
Uwierzył w fundamentum regnorum — cenzurę !
Już się w mękach Tantala miota w kręgu biura,
Czytując słowa...zdania...godne j e g o pióra...
Mistrz żądła, demon sztychu, Machiavel cytaty —
Nie umiał być ministrem bez praw konfiskaty —

— Milcz ! O kim te aluzje !? Bezczelny — wolnego !
— O Miedzińskim, rzecz jasna.
— Ach...to co innego...

Demokrata z natchnienia, z programu, z tradycji —
Dyktator mimowoli... Naskutek pozycji —
Dyktator demokracji. Jeszcze demokrata,
Już dyktator — czasami tak się właśnie splata.
W dziejowej sytuacji, wśród zawikłań tylu,
Pierwsza osoba w wojsku i pierwsza w cywilu,
Druga osoba w państwie w znaczeniu przyjętem :
Zaraz po Panu Bogu, tuż przed Prezydentem —

— Narażasz się, zuchwalcze ! Od Boga wszak władza !!
— Przecież ja to o Rydzu.
— Aha. To się zgadza.

Ewolucje moralne, Ducha bitwy walne —
W wyniku, naturalnie, zmiany personalne.
Wąż zmienia łuskę skóry, a naród — nazwiska.

Zdaleka dużo mniej się dostrzega, niż zbliska.

PROJEKT KARYKATURY

Tuż u sań stado wilków — pędzi, wyje, warczy.
Rzucili im jednego — już po nim ni śladu.
Tłusty był. Ale mały. Na długo nie starczy.
Kto następny, na chwilkę, zatka gęby stadu ?

NAGROBEK

Przechodniu, łzy się nie wstydź, co ci z oka siąpi,
I nie taj, żeś jest sorry. Będziesz jeszcze sorszy.
Bo dopiero po każdym, co po n i m nastąpi,
Pokaże się, że jednak o n nie był najgorszy.

Marzył. I tem marzeniem pieścił duszę dumną,
Że mimo wszystkie swary i spory i scysje —
Dopiero w wolnej Polsce dostanie dymisję.
Biedny Yorick. Przechodniu — ciszej nad tą trumną...

STRUŚ I KONSEKWENCJE

Na rozstajach marzenia i rzeczywistości —
Struś, kiedy pragnie wybrnąć z psychicznych trudności,
Komplikacyj uczucia i myśli niesnasek,
Z logiczną konsekwencją wsadza głowę w piasek.
Wsadzając głowę w piasek, stale zapomina,
Że PUPĘ odruchowo tem samem wypina.
W takich chwilach, krajowców nieżyczliwe grupy
Logiki nie szanując, pióra rwą mu z PUPY.

Wyższa się sprawiedliwość w tym fakcie objawia :
Kto chce głowy oszczędzać, ten PUPY nadstawia,
I wspólna to tragedja i ludzi i strusi,
Że za wszystko w tem życiu czemś płacić się musi.
Każdy z nas musi wybrać, co też bardziej woli :
Czy gdy go boli serce, czy gdy PUPA boli ?

Bo znów t a k d o b r z e niema, byś chronił ukryciem
I duszę przed rozterką, i PUPĘ przed biciem.

DEMOKRATA

Świat się wali z trzaskiem jak dziecinne klocki —
Krwawy, błędny, z raju i z nieba wypędek.
A on myśli tylko, żeby pan Zabłocki
Przestał być w „Dzienniku", bo to straszny endek.

WZGLĘDNOŚĆ USZLACHETNIAJĄCYCH MORAŁÓW

Czasem morał w nieszczęściu miast dopomóc — drwi,
Choć, objektywnie biorąc, wiele w nim rozsądku.
Naprzykład gdy ci radzą : „Nie trać zimnej krwi".
A właśnie jesteś rakiem wrzuconym do wrzątku.

PUNKT WIDZENIA

Gdyś myśliwy, a niedźwiedź jeszcze chodzi w boru,
O tę skórę niedźwiedzią nie zaczynaj sporu.
Gdyś ty miś, już złapany we wnyka — rzecz jasna :
Targuj się o tę skórę, wszak to twoja własna.

MARJAN HEMAR.

Restauracja **CHEZ AUGUSTE**
Kuchnia francuska
Kierownictwo francuskie
38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655
otwarta w niedziele

JĘZYK ANGIELSKI
Kursy korespondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcyj angielskiego drogą korespondencji. Powodzenie zapewnione. Proszę napisać : Tutor, 64, Finchley Ct., London, N.3

THE INTERNATIONAL CAFE
6, Vere Street, London, W.1
(przy Oxford Street, obok Marshall & Snelgrove)
Śniadania. Herbata. Ciastka domowe.
Obiady. Potrawy kontynentalne

MISCELLANEA

„TIMES" WYJAŚNIA

Artykuł „Times'a" z dn. 10 marca, na który odpowiedział w nr. 159 „Wiadomości Polskich" Zbigniew Grabowski, wywołał także replikę członka parlamentu Guy Lloyda („Times" z dn. 22 marca). Lloyd twierdzi, że redakcja „Times"a „nawołuje do powrotu do polityki przemocy" i że nie zwraca żadnej uwagi na państwa europejskie z wyjątkiem Wielkiej Brytanji i Rosji. Jest to ten sam błąd, który popełniali germanofile. Chcieli oni opierać rządy Europy na Niemczech i Anglji. Wyłączanie pozostałych państw europejskich — pisze Lloyd — musi doprowadzić do zamętu, anarchji i wreszcie wojny. Wielka Brytanja broniła dotychczas interesów mniejszych narodów i nie powinna porzucać tego stanowiska, które dało jej wielki kredyt moralny w Europie.

„Sowiety i Ameryka — pisze Lloyd — mają bardzo wyraźną linję polityczną, które zresztą nie jest zbieżna. Wielka już pora byśmy także mieli ustaloną politykę europejską, której nie możnaby określić jako wyrzeczenia się naszych praw do przodującej roli na kontynencie".

Dn. 23 marca „Times" ogłosił artykuł wstępny „Wielkie i małe narody" w którym wycofuje się nieco ze swego poprzedniego stanowiska. Wprawdzie „Times" w dalszym ciągu uważa, że obrona Europy wschodniej powinna spoczywać przedewszystkiem w ręku Rosji, podobnie jak obrona kanału Panamskiego w rękach Stanów Zjednoczonych, równocześnie jednak podkreśla, że Rosja „musi jeszcze wiele zrobić" dla wzbudzenia zaufania w Europie wschodniej. W dalszym ciągu „Times" tłumaczy, że jego wywody „nie są wezwaniem Rosji do nieliczenia się z interesami i dążeniami mniejszych narodów ; przeciwnie, proponują one stworzenie warunków dla przyjaznej polityki sąsiedzkiej, opartej na poczuciu bezpieczeństwa i zabezpieczeniu przed interwencją zagranicy".

UCZCIWE SŁOWA AMERYKAŃSKIEGO KOMENTATORA

„Rząd amerykański nie uznaje pretensyj rosyjskich do terytorjów zajętych w latach 1939–1940"... i uważa, że „uznanie tych żądań byłoby w oczach wielu małych narodów złamaniem gwarancyj karty atlantyckiej i że wywołałoby nieprzychylną reakcję w związku z antyimperjalistycznemi tendencjami w Stanach Zjednoczonych".

Słowa te wypowiedział dn. 20 marca amerykański komentator B.B.C. Lindley ; krytykuje go za to A. G. Cummings w „News Chronicle" z dn. 23 marca, twierdząc, że wystąpienie to było szczególnie niebezpieczne w chwili gdy Eden prowadzi ważne rozmowy w Waszyngtonie.

PRAWA POLSKI

„Weekly Review" z dn. 25 lutego pisze: „Z faktu wzajemnej pomocy wojskowej nie należy wyciągać wniosku, jakoby współpraca polityczna po wojnie leżała w tej samej płaszczyźnie. Coprawda, obowiązkiem każdego wielkiego narodu jest, o ile to tylko możliwe, unikać tarć politycznych z drugim wielkim narodem, lecz pozytywna współpraca polityczna pomiędzy dwoma rządami, posiadającemi...skrajnie różne cele i ideały, wydaje się niemożliwa. Musimy np. pamiętać, że weszliśmy w tę wojnę, aby bronić praw Polski...również nie wolno nam zapominać, że Rosja zawarła z nami przymierze dopiero wtedy gdy została napadnięta przez swego poprzedniego wspólnika...jeśli nie mamy złamać naszego słowa i poświęcić życia tylu naszych braci napróżno, Polska musi wrócić do zupełnej niepodległości i uzyskać granice, które zagwarantują jej bezpieczeństwo na przyszłość i dadzą stosowne warunki dla rozwoju jej wysokiej cywilizacji".

KRÓTKA PAMIĘĆ „DAILY WORKER"A

„Daily Worker" z dn. 22 marca zarzuca emigracji polskiej, że obejmuje ona koła, odpowiedzialne za rzekomo prohitlerowską politykę rządu polskiego w okresie, który poprzedzał tę wojnę. Podobny zarzut ośmiela się stawiać pismo, reprezentujące sfery, które podczas decydującej walki powietrznej o losy Wielkiej Brytanji nawoływały do sabotażu, do bojkotu wysiłków wojennych oraz do zawarcia odrębnego pokoju z Hitlerem ! Co więcej, „Daily Worker" nie chce pamiętać o tem, że Polska stanowczo odmówiła Hitlerowi, gdy żądał od niej wspólnej akcji przeciwko Rosji, a równocześnie ten sam organ komunistyczny nie chce pamiętać, że najbardziej prohitlerowską politykę prowadziła... Rosja w latach 1939–1941. Czyż może być bardziej prohitlerowska polityka, niż zawarcie pamiętnego paktu z Hitlerem, który umożliwił mu rozpętanie wojny, dalej współudział w zbrodniczym ataku na Polskę, wreszcie dostarczanie Hitlerowi surowców i nafty ?

„Daily Worker" odznacza się krótką pamięcią, podczas gdy Polacy o pewnych faktach niełatwo zapomną.

ŻYDZI A WSCHODNIE GRANICE POLSKI

„Polish-Jewish Observer" z dn. 19 marca podkreśla, że polscy Żydzi biorą czynny udział w obronie praw Polski przed uroszczeniami rosyjskiemi. Podobne stanowisko zajmuje prasa żydowska w Stanach Zjednoczonych.

ODPRAWA DLA SENATORA FISHA

Senator Hamilton Fish ujawnił swoje cele wojny. Fish wygłosił w Bostonie przemówienie, żądające od Wielkiej Brytanji odstąpienia Stanom Zjednoczonym wszystkich posiadłości od archipelagu Bermudzkiego do brzegów Ameryki Południowej. W tem samem przemówieniu senator zastrzegł się aby Włochom i Niemcom nie zabrać „ani piędzi ziemi", gdyż mogłoby się to stać przyczyną nowej wojny światowej. Dorothy Crisp w „Sunday Dispatch" z dn. 21 marca omawia to wystąpienie senatora-izolacjonisty i przypomina, że pół roku temu powiedział on m.in. : „Uważam, że nie powinniśmy poświęcić ani jednego amerykańskiego żołnierza w Indjach póki kraj ten pozostaje w ramach Imperjum Brytyjskiego".

Pani Crisp przytacza szereg innych wystąpień przedstawicieli izolacjonistów amerykańskich, którzy dawniej żądali aby Ameryka trzymała się na uboczu, a teraz chcą aby Stany Zjednoczone zagarnęły część posiadłości brytyjskich i projektują nawet aneksję Kanady. „Chce pan Indyj Zachodnich, Mr. Fish, — pisze Dorothy Crisp, — Mussolin chciał Nicei, Korsyki i Tunisu. W obydwu wypadkach odpowiedź jest ta sama... Pan i pana dobrani przyjaciele wybrali sobie bardzo niebezpieczne zajęcie".

„CITY OF FLINT"

„Sunday Express" z dn. 21 marca donosi o zatonięciu statku amerykańskiego „City of Flint", o którym głośno było w jesieni 1939 r. Niemiecki pancernik „kieszonkowy" „Deutschland" zatrzymał ten statek na wodach północnych i umieścił na jego pokładzie załogę przymusową, twierdząc że ładunek „City of Flint" jest „kontrabandą" wojenną. Załoga niemiecka doprowadziła statek do Murmańska. Władze sowieckie pozwoliły Niemcom na wypłynięcie po dwóch dniach, i statek skierował się norweskiemi wodami terytorjalnemi ku Rzeszy. Władze norweskie uwzględniły jednak protest neutralnego wówczas rządu amerykańskiego, przychwyciły statek i internowały załogę, złożoną z marynarzy niemieckich z pancernika „Deutschland". Amerykanie przejęli statek z powrotem, i po 113 dniach wędrówek „City of Flint" powróciła do Stanów Zjednoczonych.

POTĘGA JAPONJI

Były ambasador amerykański w Tokjo Joseph C. Grew twierdzi że Japonja nigdy się nie załamie i że pokonać ją może tylko fizyczne zniszczenie jej sił zbrojnych. W artykule, zamieszczonym w „Sunday Chronicle" z dn. 21 marca, podkreśla on że podczas gdy w Niemczech i Włoszech istnieją pewne grupy opozycyjne, które czekają na okazję zrobienia przewrotu, w Japonji czynnik ten nie wchodzi wogóle w rachubę. Japończycy są fanatykami, którzy uwielbiają wojnę i poniosą największe ofiary dla jej prowadzenia, a nigdy nie skapitulują, co nie oznacza oczywiście że nie można ich pokonać.

KŁOPOTY LABOUR PARTY

„Economist" z dn. 20 marca solidaryzuje się z obawami socjalistów brytyjskich, że dopuszczenie komunistów do Labour Party byłoby jednoznaczne z udzieleniem gościny koniowi trojańskiemu. Tygodnik zwraca uwagę na „niepewność wśród kierowników Partji Pracy, która objawia się w ich przekonaniu, że drobna mniejszość dopuszczonych do Partji komunistów wywierać będzie mogła tak destrukcyjny wpływ". Zdaniem „Economist"a, nie jest bynajmniej pewne, czy próby połączenia się z socjalistami są obliczone tylko na opanowanie brytyjskiego odcinka Drugiej Międzynarodówki, gdyż być może, jest to pierwszy krok na drodze do likwidacji Trzeciej Międzynarodówki i zamienienia Drugiej w instrument „skrajnego socjalizmu".

O POLSKIEJ DEMOKRACJI

W marcowym numerze „France Libre" ukazał się artykuł Adama Ciołkosza „Walcząca demokracja w Polsce", w którym autor omawia dzieje walk wolnościowych od powstania kościuszkowskiego do odzyskania niepodległości, udział w nich ludu polskiego i P.P.S., ustrój Polski powojennej i przeprowadzone w niej reformy społeczne, a wreszcie prądy nurtujące ruch podziemny w kraju.

NOWOŚĆ ! **NOWOŚĆ !**

Konstanty Wojciechowski

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

od czasów najdawniejszych do pierwszej wojny światowej
str. 434, ze 144 ilustracjami i 2 tabl.

cena **12s. 6d.**

Do nabycia w księgarniach:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.
LONDON : 9, New Oxford, Street, W.1 EDINBURGH : 31a, Castle Street

Mr. Korneichuk, „The New Statesman" and Beyond *)

In the issue of February 27th *The New Statesman and Nation* published an article under the title "Moscow and the Polish Government," which was cabled by its correspondent in Moscow.

The article is mainly based on an article by Alexander Korneichuk, published in *Radyanska Ukraina*, reprinted by *Pravda* as well as by the London *Soviet War News* and quoted extensively by the Moscow radio. M. Korneichuk's article has been re-issued by the press department of the Soviet Embassy at Washington, and commented upon by many London papers.

Apparently the *New Statesman* Moscow correspondent fully shares the opinions expressed by the Ukrainian writer and he relies completely on his testimony. Consequently, without seeking any confirmation of his views, he hazards the following sentence : "While the Polish people are suffering all the horrors of German occupation, certain Polish writers in London even expressed the view that there is really no hurry about their liberation, because such quick liberation could only come as the result of the Russian victory." May I point out that, to the best of my knowledge, this whole accusation is completely unfounded. No Polish writer in London has ever expressed such an opinion and it is really monstrous to suppose that such could be the case. On the contrary, Polish writers in this country have on many occasions expressed their firm conviction that the Allied Nations must achieve victory with the least possible delay, in order to put an end to the German reign of terror on the Continent, and particularly in Poland. At the same time, Polish writers do not conceal their views on the kind of liberation which they envisage for their country. They have in mind *liberation* and not *occupation*. The liberation of Poland could be brought about by a friendly invasion of the Anglo-Saxon Powers which would guarantee order in all subjugated countries on the Continent. The Polish people expect to play their part in the final struggle for the liberation of Poland as they did in November, 1918.

M. Korneichuk is greatly amazed that certain Poles fear a Soviet victory at a time when "the Russians and Ukrainians are sacrificing their lives in the liberation of the Ukraine (the whole Ukraine), and indirectly in the liberation of the unhappy Polish people." M. Korneichuk should be advised to consult some Swedish, Swiss, Turkish and American papers in order to learn something about the fears and apprehensions not only of some Poles, but of many European nations. But I am afraid, that he would not obtain access to impartial sources of information. The people of Poland admire the tenacity of the Russian soldiers and the mighty revivàl of the Russian national spirit. They know that Russia is fighting for her freedom and for her very existence. In September, 1939, thousands of Poles sacrificed their lives, and thus gave Russia precious time to prepare adequately for the German onslaught. The sacrifice which Poland made then did not meet with any special recognition from the Russian leaders. Perhaps that very lack of appreciation may explain the existence of a certain reserve in the attitude of the Polish nation.

M. Korneichuk is concerned with the so-called Western Ukraine, which, according to the *New Statesman* correspondent's expression, was "without rhyme or reason included in the inflated Polish State under the Riga peace treaty." It is really rather dangerous to picture the Polish state as an "inflated country," especially when this charge is brought by one of the greatest countries in the world, in fact a huge continent stretching from Vladivostok down to Baranowicze.

The description given by M. Korneichuk of the "Ukrainian city of Lvov with its enormous number of unemployed and prostitutes before the Red Army came," is one of the best jokes one has heard in these grim and tragic times. Everybody can find in books written by responsible foreign observers that the allegedly Ukrainian city Lvov is inhabited by Poles, Ukrainians and Jews. The city of Lvov had undoubtedly a certain number of unemployed and a certain number of prostitutes as had all the cities of Europe. May I add that only in two countries of the world were there no unemployed ; in Germany and Soviet Russia, their whole manpower being absorbed in war industry. In Great Britain there is unemployment even to-day, and the U.S.A. had nearly ten million unemployed before the war started. It seems that unemployment is a necessary disease of the so-called capitalistic system and even such "capitalistic" countries without capital as Poland, have suffered from that scourge.

Moscow correspondent of *The New Statesman* points out that, during the Polish rule, the Ukrainians in Eastern Galicia were maltreated and that this part of the country was subjected to Polish acts of terrorism on a stupendous scale. It would be idle to conceal the unhappy attempts made by several Polish governments to solve the Ukrainian problem. It is clear that some high-handed actions taken by the Polish authorities in Eastern Galicia were not only short-sighted, but essentially stupid, and in some cases, even brutal. No liberally-minded Pole would defend those acts. They were condemned by many Poles, and especially by Polish writers. (I have not heard, by the way, of any protests made by the Soviet writers against this or any other iniquity committed by their Government). Many progressive Poles made a plea for good relationship and many Ukrainians in Eastern Galicia were favourably disposed towards the idea of reconciliation. Ukrainian papers were published in Lvov, Ukrainian politicians sat in the Polish Diet, Ukrainian co-operative societies were thriving and were among the most prosperous enterprises in Poland.

The Poles are always ready to listen to criticism coming from great liberal countries, such as this country or the United States. No sensible Pole would feel offended at criticism of some of the acts of this or that Polish régime, or the many shortcomings of Polish democracy. Democratic and progressive countries have always the right to criticise other communities and their advice should be accepted. On the other hand, it is difficult to accept criticism from quarters which are least entitled to preach the doctrines of democracy or to address advise on the proper treatment of the population. Soviet Russia enjoyed the great advantage of being a State surrounded by a great Wall of China. It is a pity that Soviet Russia was not open to foreign journalists, as Poland was, and that, therefore, we have no account of Russian actions in the Eastern Ukraine, such as for example, Mr. F. A. Voigt was able to send from the Eastern Galicia.

The issue which confronted the Poles in 1939 was quite simple in outline. The German plan was to "shift" Poland to the East by annexing the Western provinces of the country and making Poland a German vassal state. Why should we accept now an exact replica of it with the only exception that it would mean "shifting" Poland to the West and transform her into a vassal state of another Power ?

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

*) The delay in publishing this article has been caused by censorship. Several paragraphs have been left out.

URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1
zawiadamia o wydaniu podręcznika:
IGNACY CHRZANOWSKI
HISTORIA LITERATURY NIEPODLEGŁEJ POLSKI (965–1795)
Str. 740 Z WYPISAMI Cena 10s.
Zamówienia można kierować do Urzędu Oświaty, załączając przekaz pieniężny

Ehrlich and Alter *)

A protest against the execution of the two "Bund" leaders Henryk Ehrlich and Wiktor Alter was made last week by the Polish Government in London. The protest was handed to the Soviet authorities in Moscow by the Polish Ambassador, Count Tadeusz Romer.

The Polish Government therein refutes the charges contained in the accusation against the two Jewish leaders that they plotted for a separate peace with the enemy and condemns in strong terms their execution.

Although the Soviet Government shortly after the arrest of these "Bund" leaders, handed back their passports to the Polish Embassy, maintaining that they were Russian citizens, the Polish Government points out in its note that it does not accept this view and that the execution was contrary to international law.

Neither the date nor the place of death of Henryk Ehrlich and Wiktor Alter is yet known. According to one report, they were executed in December, 1941, in Kuibeshev where their re-arrest had taken place.

The Jewish Workers Party "Bund" is now preparing a special booklet with the full account of the arrest of the leaders, their letter to Stalin and other data connected with their tragic end.

The execution of the two Bundist leaders has caused great indignation in the U.S.A. labour circles. Norman Thomas, Socialist Party leader, spoke about the matter over the radio and three hundred newspapers gave the news prominence. Some papers referred to it as the Polish "Sacco and Vanzetti case." Among those who signed the petition to the Soviet Government asking for the release of Ehrlich and Alter, believing they were still alive, were Mrs. Roosevelt, Mr. Wendell Wilkie and Albert Einstein.

*

Aleksander Ehrlich, zamieszkały w Nowym Jorku, syn rozstrzelanego w Związku sowieckim przywódcy „Bundu" Henryka Ehrlicha, zwrócił się za pośrednictwem konsula generalnego Strakacza do gen. Sikorskiego z prośbą o przyjęcie go do wojska polskiego w charakterze ochotnika. Aleksander Ehrlich który jest żonaty i ma dzieci, umotywował swoją prośbę tem, że pragnie postąpić zgodnie z intencjami swojego ojca.

Wódz naczelny przychylił się do prośby Aleksandra Ehrlicha.

*) from „Polish-Jewish Observer", March 19th.

BELGRAVIA HOTEL
86, Belgrave Road, London, S.W.1
(koło Victoria Station)
tel. VICtoria 1649
pokoje ze śniadaniem i z kąpielą od **8s. 6d.**
z obiadem od **12s. od.** dziennie
Woda ciepła i zimna w każdym pokoju

PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD KRAWIECKI
CROMWELL STUBBS
4, NEW COLLEGE PARADE,
FINCHLEY ROAD, LONDON, N.W. 3
tel. PRImrose Hill 3380
wykonywa garderobę damską, męską i mundury wszelkiego rodzaju

KORESPONDENCJA

O NIEPODLEGŁOŚĆ LITWY

Do redaktora „Wiadomości Polskich"

Tygodnik „Tribune" podaje pogłoskę iż podróż gen. Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych miała na celu uzyskanie zgody na przyszłe granice Polski; obejmujące również całą Litwę.

Twierdzenie to jest kłamliwe, ponieważ Polska nie miała nigdy żadnych roszczeń do państwa litewskiego ; naodwrót, liczono się z możliwością wejścia Litwy wraz z innemi państwami bałtyckiemi do bloku państw bałtycko-czarnomorskich, położonych między Rosją i Niemcami i stanowiących skupienie narodów środkowoeuropejskich, jednakowo zagrożonych tak ze wschodu jak z zachodu przez potężne imperjalizmy sąsiednie, jak tego dowiodły wypadki obecnej wojny.

Toteż nasuwa się pytanie, czy puszczanie podobnych złośliwych plotek nie jest umyślnem torpedowaniem samej myśli bloku bałtycko-czarnomorskiego, wrogo przyjętej przez pewne ugropowania międzynarodowe ? Czy suggerowanie Polsce aneksji Litwy nie jest przypadkiem wysuwane w celu osłabienia jednego z naszych głównych argumentów prawnych na korzyść utrzymania granicy ryskiej ? Jeśli karta atlantycka mówi o nienaruszalności granic przedwojennych, i na tem opieramy m.in. nasze prawa do całości naszych posiadłości na wschodzie, to w jakiż sposób moglibyśmy żądać pogwałcenia zasad karty atlantyckiej przez żądanie aneksji sąsiedniego państwa ? Czy suggerowanie nam tego rodzaju hotentockiej etyki nie jest wytrawnym środkiem oczerniania nas i dyskredytowania naszego zasadniczego celu wojny, jakim jest powrót do naszych dawnych granic ?

Polska pierwsza zbrojnie wystąpiła przeciw przemocy, przeciw chęci podbojów, aneksji, narzucaniu niewolnictwa innym narodom. Polska pierwsza sprzeciwiła się idei „Herrenvolk"u, idei panów i niewolników. Chwyciwszy za broń w obronie własnej ziemi, podnieśliśmy dawne hasło „za waszą wolność i naszą", hasło, które w interpretacji zjednoczonych narodów oznacza takie urządzenie stosunków międzynarodowych, by idea wolności i równouprawnienia narodów mogła się godzić z ogólnym rozwojem stosunków międzynarodowych dla powszechnego dobra ludzkości. Wolny człowiek w wolnym narodzie, wolny naród, jako komórka wolnej ludzkości, wyzyskującej dla wspólnej korzyści bogactwa ziemi i wszystkie fantastyczne wynalazki wiedzy, oto ideał powojennej struktury świata.

Nie widzę innego sposobu reorganizacji naszych stosunków sąsiedzko-międzynarodowych i jednoczesnego zagwarantowania własnego bezpieczeństwa przed zaborczym imperjalizmem Niemiec i Rosji, niż stworzenie federacji wszystkich narodów, znajdujących się w tem samem położeniu, dla wspólnej pomocy, dla wspólnego dobra.

Lecz żeby taka federacja doszła do skutku, by posiadała dość spoistości dla spełnienia swojej roli, musi ona być ożywiona odpowiednim duchem, odpowiednim patrjotyzmem federalnym. Poszczególne wchodzące w jej skład narody, powinny przejść przez proces historyczny, analogiczny do tworzenia się narodu z różnych plemion, odmiennych ras i języków, a dopóki przez ten proces nie przeszły, powinny przynajmniej żywić głęboką wiarę w skuteczność zamierzonej organizacji i odczuwać w stosunku do swoich kontrahentów ufność i solidarność interesów, jak to się działo przy powstawaniu wielojęzycznej federacji szwajcarskiej lub federacji amerykańskiej.

Robotę konstrukcyjną powinno poprzedzać przygotowanie dusz i umysłów, wzniecenie tej głębokiej wiary, która porusza głazy odwiecznych przesądów, uraz, dąsów, swarów, wiary, która stanie się głównym czynnikiem twórczym przyszłej budowy, jej duszą, jej natchnieniem.

Oczywiście, bliski stosunek polityczny z Litwą jest marzeniem większości Polaków. Unja dała obu narodom najwyższy stopień rozwoju i potęgi i na kilka stuleci obroniła je od niebezpieczeństw zewnętrznych.

I dlatego dłoń nasza będzie zawsze wyciągnięta do zgody i współpracy, opartej na wzajemnem porozumieniu, lecz zaborczość, gwałt, przemoc względem Litwy, są na zawsze wykreślone z polskiego programu politycznego.

Dał temu niedawno wyraz walny zjazd Polaków ziem północno-wschodnich, zjazd, jednoczący w sobie przedstawicieli najrozmaitszych poglądów politycznych, który jednogłośnie uchwalił konieczność utrzymania niepodległości państwa litewskiego.

ZOFJA IWANOWSKA.
(*Edynburg*).

*

Helen w Edynburgu. Przekazaliśmy autorowi wiersza.

Osk. M. Z artykułu nie skorzystamy.

Ed. D. Sprawą tą zajęliśmy się już w nr. 159 „Wiadomości Polskich".

KOŁO PRZYJACIÓŁ HARCERSTWA POLSKIEGO

Koło Przyjaciół Harcerstwa prosi o zapisywanie się na członków Koła, Składka członkowska wynosi rocznie od 10s. do £1. Wpłaty należy kierować na ręce przewodniczącego Koła, płk. Wasilewskiego, Hotel Rubens, Buckingham Palace Road, London, S.W.1, lub też na rachunek „The Circle of Friends of Polish Boy Scouts and Girl Guides" w Midland Bank Ltd., 79, Piccadilly Street, London, W.1.

W okresie wielkanocnych feryj szkolnych uruchomione będzie ponownie „Ognisko Dzieci i Młodzieży" (7, Belgrave Mews North, S.W.1) (od początku kwietnia do pierwszych dni maja b.r.).

WALNE ZEBRANIE DZIENNIKARZY

Zarząd Związku Dziennikarzy (sekcja w Londynie) zwołuje na niedzielę, 4 kwietnia b.r., nadzwyczajne walne zebranie członków. Na porządku dziennym sprawa cenzury, stosowanej wobec prasy polskiej w Anglji. Zebranie odbędzie się w lokalu Ogniska Polskiego (45, Belgrave Square, S.W.1) o godz. 10.30 w pierwszym terminie lub o godz. 11 w drugim terminie.

Zarząd prosi o wcześniejsze zgłaszanie udziału pod adresem : 11, Gower Street, London, W.C.1 („Free Europe").

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI
LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Mówi się po angielsku, francusku, włosku i niemiecku
Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICtoria 9508

Redaktor : ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.